ROK III. — Nr. 3. Warszawa, Marzec 1911.

PRĄD

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNY I LITERACKO—NAUKOWY

Wychodzi w końcu każdego miesiąca

pod redakcyą A. L. SZYMAŃSKIEGO przy najbliższym współudziale
TADEUSZA BŁAŻEJEWICZA, MIECZYSŁAWA ENGLA
i ŻYGMUNTA FEDOROWICZA.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: WARSZAWA, Ulica WARECKA Nr. 10. Tel. 212-06.

PRZEDPŁATA ROCZNA: w Warszawie rb. 3, z przesyłką pocztową rb. 4. w Austryi koron 10; w Niemczech marek 9; we Francyi, Belgii i Szwajcaryi franków 11; w Stanach Zjednoczonych dolar. 2 cent. 10; w Anglii 9 szylingów

My a niekatolicy *).

I.

Świat cywilizowany przechodzi obecnie kryzys religijny, którego oznaki dają się zauważyć i w naszym kraju. Rozwój wśród szerokich mas nowych idei i poglądów polityczno-społecznych, wysubtelnienie zmysłu moralnego ogółu, a nareszcie nowe pojęcia i zdobycze naukowe nie mogły pozostać bez wpływu na dziedzinę życia religijnego. To też już od dłuższego czasu słychać głosy, domagające się rozmaitych zmian i reform na tem polu, przyczem większość dyskusyi, projektów i rozpraw dotyczy istoty katolicyzmu, zadań, jakie ma on przed sobą do spełnienia oraz losów, czekających go w przyszłości. Jak zwykle w podobnych momentach dziejowych bywa, większość zainteresowanych, uznając potrzebę pewnych zmian, różni się jednak w poglądach na ich jakość i sposób przeprowadzenia. Tak więc np. jedni głoszą zasadę, iż kato-

*) Wstęp do niniejszego artykułu umieszczony był w № 3 „Prądu" z roku ubiegłego.

ogłoszenie nowej religii rozumu, mającej zastąpić starą, przeżytą religię miłości.

Dziwnym zbiegiem okoliczności dokładnie w sto lat później, bo w jesieni 1893 r. zebrał się podczas światowej wystawy w Chicago pierwszy powszechny kongres religii.

Wzięło w nim udział przeszło 4000 uczestników; prawie wszystkie na kuli ziemskiej istniejące religie wysłały nań pełnomocników. Gdyby jednak obywatel Chaumette był mógł jakim cudem powstać z grobu, nadarmo byłby szukał wśród tego olbrzymiego zebrania przedstawicieli owej religii rozumu, której zwycięstwo przed stu laty w tak szumnych wysławiał frazesach. Nie było ich tam wcale! Natomiast zwolennicy tego — jak go obywatel Chaumette nazwał — fanatyzmu o zezowatym wzroku odgrywali tam rolę, której widok byłby czciciela „żywego arcydzieła przyrody" niemałem przejął przerażeniem" [1]).

Zniknęły czasy, gdy uważano religię za przesąd, bajkę, wymysł księży. Dzisiaj najpoważniejsi psychologowie stwierdzają, iż człowiek to *animal religiosum;* socyolodzy widzą w religii wielką siłę społeczną; przyrodnicy wyrzekli się rozwiązywania metodami przyrodniczemi kwestyi metafizycznych, pedagodzy zwracają uwagę na trudności, z jakiemi związane jest wychowanie młodzieży, o ile nie oprze się go o podstawy religii.

Bezwiednymi apologetami są też często historycy, usuwający na zasadzie najnowszych objektywnych badań tradycyjnie mylne zapatrywania co do stosunku Kościoła do—cywilizacyi;—medycy, stwierdzający związek, jaki istnieje między światopoglądem religijnym danej jednostki, a sprawnością jej systemu nerwowego;—hygeniści, wykazujący ogromne znaczenie niektórych przepisów Kościoła i t. d. Wszystkie te nowe badania, poglądy, zawierają w sobie wiele błędów, często mogą być nawet dalekie od postulatów katolickich, w każdym jednak razie nowe te prądy i dążenia są już pewnym postępem ku religii, są jakby mostami, rzuconymi między wiarą a niewiarą i mimo wszystkich swych braków w sumie wytwarzają one atmosferę umysłową, przychylniejszą znacznie dla rozwoju uczuć religijnych, aniżeli atmosfera, panująca przy końcu wieku XVIII-go lub też w początku XIX-go. Niestety wymienione objawy przez publicystykę naszą zbyt często są pomijane i lekceważone [2]).

Tymczasem jeśli chce ona odtwarzać prawdziwy obraz stanu religijnego narodów cywilizowanych, to, uwzględniając starannie prądy sprzeczne z postulatami katolicyzmu, musi również nadzwyczaj dokładnie zaznaczać węzły, łączące katolików z ich przeciwnikami, oraz punkty styczne, jakie dają się zauważyć bądź w badaniach naukowych, bądź w działalności praktycznej jednostek i całych grup. Upatrywanie w każdym, kto nie

---

[1]) M. Straszewski: Religia przyszłości.

[2]) Jednym z nielicznych wyjątków w naszem piśmiennictwie religijno-filozoficznem, jest praca ks. prof. W. Kalinowskiego „Pragnienie Powrotu" (Warszawa. księgarnia M. Szczepkowskiego), w której autor wykazuje zwrot ku religii, przejawiający się w pracach wielu współczesnych uczonych.

jest uświadomionym, konsekwentnym i etycznym katolikiem, bezwzględnego wroga katolicyzmu jest błędem: nie uwzględnia ono bowiem mnóstwa typów pośrednich, których jest olbrzymia większość. O ile na to wszystko nie zwraca się dostatecznej uwagi, to obraz życia religijnego dzisiejszych społeczeństw cywilizowanych, jakeśmy to już mówili, nie będzie obrazem rzeczywistym, realnym, lecz jednostronnym i fikcyjnym, co pociągnie za sobą nieobliczalne szkody dla akcyi katolicko-społecznej, czyniąc ją nie pedagogiczną i wadliwą pod względem wyboru metod. Jest to zupełnie naturalne. Wybór środków dla osiągnięcia celu działalności możliwy jest jedynie przy doskonałej znajomości terenu, t. j. znajomości wszystkich przejawów życiowych danego społeczeństwa. O ile podobne studya przeprowadzone są niedokładnie, jeżeli rezultatem badań jest nie obraz realny, lecz sztuczna konstrukcya, to naturalnie, że środki i metody, w takiej akcyi społecznej używane, do celu nie doprowadzą, gdyż nie będą odpowiadały potrzebom danego społeczeństwa.

A teraz dlaczego przesada, nie uwzględnianie świateł i jednostronność informacyi o przeciwnikach i ich pracach czyni metodę akcyi katolickiej niepedagogiczną? Dlatego, że taka jednostronność i przesada w przedstawianiu antyreligijności naszych czasów jest nieświadomem sugestyonowaniem i utrwalaniem w ludziach mało wyrobionych i małej wiary przekonania iż katolicyzm upada. Bardzo często podobna przesada usprawiedliwia się i uzasadnia potrzebą silnego bodźca, pobudzającego katolików do żywotniejszej akcyi. Zgodziwszy się nawet na takie postawienie kwestyi, zaznaczyć jednak należy, iż ciągłe biadanie nad upadkiem katolicyzmu i siłą jego wrogów, może pobudzić do pracy jednostki zupełnie uświadomione i konsekwentne, co zaś do olbrzymiej liczby chwiejnych, niezdecydowanych, połowicznych katolikow, to na nich biadania takie wpłynąć mogą jedynie deprymująco i zniechęcająco. To też skutkiem uprawiania owej niepedagogicznej metody, szeroki ogół, jako właśnie składający się z owych ludzi małouświadomionych i małej wiary, nasłuchawszy się jeremiad i narzekań, uczony tylko jak się ma bronić i cofać, nie zaś jak atakować, przestał oddawna uważać katolicyzm za siłę twórczą, mającą przyszłość przed sobą, widzi w nim jedynie ideę przeszłości i instytucyę przestarzałą, a nie chcąc służyć sprawie przegranej, „swych myśli przędzę i uczuć kwiaty“ zwrócił w innych kierunkach — ku pracy naukowej, społecznej, narodowej i t. d.

Cóż tu zresztą mówić o szerokich sferach, które do zrozumienia ideału katolickiego nie dorosły, które go nie znają, któremu opierają się wszystkiemi namiętnościami nieopanowanej swej natury, kiedy tym duchem zniechęcenia, tą sugestyą upadku, opętane są nawet niektóre jednostki uświadomione po katolicku, działające na tem polu, a mimo to przekonane iż cała ich praca do niczego nie prowadzi, gdyż bezwyznaniowców do katolicyzmu przekonać nie podobna. Pragną też oni jedynie utrzymać przy nim tych, co są, uchronić ich „od zarazy niewiary”. Oto myśl przewodnia ich zabiegów, cel pracy. Dalej ambicyą nie sięgają. Na tych, co z wiarą w moc prawdy, w siłę chrystyanizmu, z zaufaniem do ludzi, co przecież „animam naturaliter christianam” posiadają — chcą iść w szeregi niewierzących, aby dać im to, czego ci ostatni nie posiadają, a czego

tak gorączkowo poszukują — to jest wieczną prawdę, patrzą jako na niepraktycznych ideologów, marzycieli, niebezpiecznych modernistów. Ludzie małej wiary! Myślą oni o śmierci z honorem, nie o zwycięstwie. Zamiast zbadać, gdzie leży przyczyna niepowodzeń niektórych prac katolickich, zamiast poszukać ich w braku umiejętności, poświęcenia i ofiarności ze strony katolików, w ich konserwatyzmie, braku inicyatywy, formalizmie i przestarzałych metodach pracy, zwalają wszystkie niepowodzenia na żydów, masonów, socyalistów, na ducha czasu, sami zaś pielęgnują w sobie i otoczeniu przekonanie, że oto już niedalekie są czasy, gdy na zepsutym świecie zjawi się Antychryst, a Papież, opuściwszy Rzym, zostanie owym „papa nauta", o którym św. Malachiasz opowiada. Nieprawdopodobne!

Kto jednak stykał się dłużej i bliżej z niektórymi grupami działaczy katolickich, ten nieraz podobne dysputy słyszał.

Odpowiedzialność za taki upadek ducha, wiary i nadziei ponosi w dużym stopniu nasza publicystyka. Jeżeli zechciałaby ona zło wyrządzone naprawić, to przedewszystkiem winna dokładniej, staranniej i obszerniej, niż dotychczas podkreślać, uwypuklać i przypominać prawdę, iż wszystko co jest dobre i piękne w teoryach i postępowaniu naszych przeciwników, a co uważają oni często za zdobycz i rezultat swojej pracy, jest wzięte z chrystyanizmu, ze skarbów duchowych, jakie katolicyzm przez wieki w społeczeństwach europejskich nagromadził. Następnie, nie należałoby przypisywać zbyt wielkiej siły działalności bezwyznaniowców, nie robić im niezasłużonej reklamy; nie powiększać sztucznie rezultatów ich pracy, nie dopatrywać się tam bez przekonywających danych, jakichś przewrotnych planów, taktyk i zamiarów, i w ten sposób całą ich pracę oceniać sprawiedliwie i bezstronnie, lecz bez przesady i fantazyowania. Wreszcie publicystyka katolicka winna więcej, niż dotychczas, pouczać i informować w duchu pozytywnym o pracach katolickich, mówić, co zrobiono, a co zrobić należy na przyszłość, mówić krytycznie, bez panegiryków i sztucznego zachwytu, o ile możności zasadniczo, nie poprzestając na wzmiankach i informacyach dziennikarskich.

Tak postępując, nie będziemy fałszowali pojęć o kierunkach doby obecnej, umniejszając sztucznie i nieświadomie, jak to czyni się obecnie przez złą taktykę, rozwoju i siły twórczej katolicyzmu. Będziemy natomiast dawali szerokiemu ogółowi realny i rzeczywisty obraz stosunków religijnych, niepozbawiony cieniów ale obfitujący i w światła. Wtedy ogół przekona się i zrozumie, iż mimo wszystko Chrystus wśród ludzkości rządzi i panuje i niedaleką jest może chwila, gdy ci, co od Niego odeszli, wrócą, jak ów biblijny syn marnotrawny. A wyrobiwszy w rzeszach katolickich takie przekonanie, obudzimy w nich nowe siły, nowy zapał i nową energię do pracy nad rozszerzeniem i pogłębieniem w duszach jednostek i społeczeństw ideałów chrystusowych.

II.

Przekonanie o zmniejszaniu się liczby zwolenników katolicyzmu utrwala się również i przez inną jeszcze nieracyonalną i niepedagogiczną metodę, a mianowicie przez sprowadzanie katolicyzmu do pojęcia partyi polityczno-

społecznej. Bardzo często w prasie, odczytach, a nawet i uczonych dziełach napotkać można następujące przeciwstawienia: katolicy—demokraci narodowi; katolicy—pedecy; katolicy—ludowcy; mówi się młodzież katolicka, postępowa, demokratyczno-narodowa. W niektórych wypadkach powyższy podział jest potrzebny i racyonalny, jeśli idzie naprzykład o zaznaczenie, iż w danej partyi są jednostki niekatolickie, albo też dla wykazania niezgodności pewnych punktów partyjnego programu z postulatami katolicyzmu. Używając jednak podobnej klasyfikacyi, należy mieć ciągle na uwadze, iż lekkomyślne i bezpotrzebne nadużywanie jej doprowadzić może do niepożądanych następstw.

Katolicyzm nie jest tylko doktryną społeczną czy polityczną, jest religią i światopoglądem, przedewszystkiem więc można go przeciwstawiać innej religii i innemu światopoglądowi, jak naprzykład protestantyzmowi lub haecklowskiemu monizmowi. Nie można jednak bez omówień i zastrzeżeń przeciwstawiać jako pojęć współrzędnych katolicyzmu postępowej czy narodowej demokracyi. Katolicyzm, będąc religią i światopoglądem, jednoczy ludzi o rozmaitych zapatrywaniach polityczno-ekonomicznych. Rzeczą istotną w katolicyzmie jest element religijny. Wprost odwrotnie jest z jakąkolwiek partyą polityczną. Rzeczą istotną jest w niej program polityczno-społeczny. Co do niego przedewszystkiem musi istnieć wśród członków zgoda. Poglądy filozoficzno-religijne stoją na planie drugim.

Tak więc przeciwstawiając nieoględnie katolicyzm jakiejkolwiek partyi polityczno społecznej porównywujemy w ten sposób rzeczy niewspółmierne, odbieramy katolicyzmowi jego uniwersalny charakter, sprowadzamy go do pojęcia partyi.

Zacieśnienie takie, specyalnie niebezpieczne jest dla nas ze względu na charakter polskiego społeczeństwa.

Byliśmy zawsze narodem katolickim i powiedzieć nawet można, iż tego ducha chrześcijańskiego było u nas więcej, niż gdzieindziej. Prądy antyreligijne zaczęły poważniej nurtować w społeczeństwie naszem później i nie ogarnęły nigdy szerokich warstw. Wiele okoliczności, które wykopały w innych krajach przepaść między społeczeństwem a Kościołem, u nas nie oddziaływały nigdy. Warunki polityczne nakazywały w imię interesu narodowego bronić religii, wskutek czego religia i narodowość zlały się u nas prawie w jedno uczucie.

To też nawet w chwili obecnej stan religijny naszego społeczeństwa pomimo najrozmaitszych swych braków jest jednak pod wieloma względami lepszy, niż gdzieindziej. Lud w masie swej odznacza się szczerą religijnością, warstwy uprzywilejowane, mające na bieg życia społecznego duży wpływ również do katolicyzmu się przyznają. Wśród inteligencyi, mimo iż najwięcej może ze wszystkich warstw narodu zarażona jest antyreligijnością, jednostki zdecydowanie, świadomie i konsekwentnie antykatolickie są stosunkowo do ogółu inteligencyi nieliczne, olbrzymia zaś jej większość znajduje się pod wpływem silnej tradycyi katolickiej, według której normuje swe życie. Jednostki niekonsekwentne, jakich u nas wiele się spotyka, a o których jeszcze więcej się pisze i mówi są właśnie tej tradycyi dowodem.

Aby przyznać słuszność powyższym twierdzeniom wystarczy przyjrzeć się uważnie naszemu życiu rodzinno-społecznemu. Ileż znajdziemy w nim przejawów religijności! Olbrzymia większość dzieci otrzymuje u nas wychowanie domowe w duchu religijnym. Święcenie niedzieli, świąt, posty obserwujemy ściślej i dokładniej, niż gdzieindziej. Rzadkością są u nas bezwyznaniowe pogrzeby; kościoły w czasie nabożeństw przepełnione są wiernymi; duchowieństwo cieszy się większą powagą i uznaniem, niż w wielu krajach Zachodu. Przejawów takich mógłbym wyliczyć znacznie więcej, najlepszym jednak dowodem są chyba przeszłoroczne uroczystości częstochowskie, uroczystości, które zgromadziły, mimo najrozmaitszych utrudnień, setki tysięcy ludzi wszystkich klas i zawodów. Gdzie i w jakim kraju byłyby one możliwe w takiej imponującej formie! A potem gdy hiobowa wieść o znieważeniu świętego miejsca przez występnego mnicha rozeszła się po kraju, czyż nie zadrgały serca wszystkich prawie synów naszej ziemi bólem i goryczą!

Tak więc ogólna fizyognomia religijna Polski jest inna, niż Zachodu. We Francyi, Włoszech, Niemczech i t. d. społeczeństwo podzieliło się na dwa wielkie odłamy: konsekwentnych uświadomionych katolików, oraz konsekwentnych uświadomionych niekatolików. U nas jednych i drugich jest zaledwie garstka, ogół zaś—to nieuświadomieni i niekonsekwentni katolicy, mający z jednej strony wiele naleciałości antykatolickich, z drugiej jednak związani silnie z nami katolicką tradycyą i pewną liczbą katolickich zasad. Są to jednostki, stojące na rozdrożu między religijnością i antyreligijnością, jednostki, które bezwarunkowo w przyszłości przechylą się na tę lub inną stronę zależnie od tego, która idea potrafi silniej do nich przemówić.

Jaką jest większość naszej inteligencyi, taką też jest większość przez nią wytworzonych organizacyi społeczno-politycznych. Naogół, większość z nich wyrzeka się formalnie wszelkich barw i szyldów katolickich, mimo to jednak przeciw katolicyzmowi nie występuje, nieprzejednanego stanowiska wobec niego nie zajmuje, stoi na gruncie etyki chrześcijańskiej, składa się nietylko z katolików połowicznych, ale i głębiej uświadomionych, wobec czego, nie będąc ideałem organizacyi katolickich, nie są również antykatolickie i do tej kategoryi bez pogwałcenia ścisłości i sprawiedliwości zaliczone być nie mogą. Gdybyśmy chcieli wszystkie tego rodzaju instytucye przeciwstawiać instytucyom katolickim, a wszystkich, którzy w nich pracują nazywać antykatolikami, a choćby nawet niekatolikami, odepchnęlibyśmy i wykreślili ze swych szeregów wielu, mających dużo wspólnego z nami, pozbyliśmy się możności oddziaływania na nich, zmniejszylibyśmy dobrowolnie swą liczbę, wyodrębniając się jednocześnie w społeczeństwie, przyśpieszając w ten sposób samowolnie chwile, kiedy powiedzieć by można: „katolicy są tylko odłamem czy partyą w narodzie.“

A jakiż wpływ fatalny ma taka metoda na szerokie masy. Masy te, nie mające czasu, ani warunków, aby badać samodzielnie puls życia religijnego, na zasadzie zaś tego, co słyszą i czytają w pismach, utwierdzają się w przekonaniu, że kto należy do jakiejkolwiek partyi, nie mającej szyldu katolickiego, jest niekatolikiem. Widząc zaś z jednej strony wiele silnych organizacyi i prac, prowadzonych przez takich ludzi, a z drugiej tylko niewielką

liczbę instytucyi i organizacyi oficyalnie katolickich wyrobią sobie przekonanie, że społeczeństwo nasze katolickiem już nie jest, że katolików istnieje w nim już tylko garstka.

Wskutek małego wyrobienia nie będą oni widzieli krzyczącej różnicy między takim poglądem a życiem, nie będą zastanawiali się nad prawdą, że z wpływów katolicyzmu nie otrząsnęli się u nas nawet ci, co głośno przeciw niemu występują, lecz zasugestyonowani frazesami, przeciwstawiającymi katolicyzm rozmaitym partyom, wyciągną wniosek: „katolicyzm upada". A ponieważ przy sztandarze, reprezentującym sprawę przegraną, zostają jedynie bohaterzy; bohaterami zaś bywają tylko jednostki, więc też omawiana metoda naszej akcyi otwiera furtkę, przez którą sączy się w masy katolickie prostracya, upadek ducha, bezczynność i odstępstwo.

A lekarstwo na to jest jedno: akcentować przy każdej sposobności istotę i charakter katolicyzmu, wynoszące go ponad programy polityczno-społeczne; nie tworzyć z katolików partyi politycznej o charakterze specyalnie wyznaniowym, wyodrębniając ich tym sposobem w narodzie, a za punkt wyjścia i zasadę całej akcyi katolicko-społecznej przyjąć jedynie prawdziwe i odpowiadające rzeczywistości hasło: „Polska jest katolicką".

III.

A teraz należy wspomnieć jeszcze o skutkach bezzasadnego i lekkomyślnego odsądzania od katolicyzmu katolików przez katolików.

Niema dzisiaj prawie wybitniejszego działacza, któryby nie był w ostatnich czasach posądzony o sprzyjanie czy szerzenie niekatolickich zapatrywań. Posądzania te doprowadza się poprostu do absurdu.

Niechaj tylko ktośkolwiek użyje nowej metody w pracy, utworzy nową placówkę działalności, odzieje w nową formę literacką czy artystyczną prawdy katolickie — uznany zostaje przez pewną grupę naszych katolików za modernistę.

Napróżno potem tłumaczy się i wypiera. Niema dla niego ratunku. Jeśli popełnił błąd—jest oczywiście modernistą. Odwołał go — zrobił to nieszczerze. Rozprawia o dogmatach — nie ma do tego prawa jako świecki. Nie rozprawia — jest zwolennikiem chrystyanizmu bezdogmatycznego. Nie wdaje się w żadne dysputy, prowadząc pracę praktyczną — jest utajonym modernistą.

O tej manii tropienia herezyi pisano i mówiono u nas wiele, za mało jednak może zwracono dotychczas uwagi na smutne następstwa, jakie owe nieuzasadnione oskarżenia pociągają za sobą.

Mówi się dużo o potrzebie oszczędzania sił, o ekonomii w pracy, o energii społecznej i t. d. Potępiamy gorąco i wymownie marnotrawstwo w życiu prywatnem i publicznem. Powiedzieć nawet można, iż pod tym względem w sferze życia narodowego i gospodarczego, zrobiliśmy pewien postęp. Niestety, nie można tego powiedzieć o dziedzinie pracy społeczno-katolickiej. Tutaj owemi ciągłemi podejrzeniami, wietrzeniami herezyi, podchwytywaniem każdego słowa, wypowiedzianego mimochodem, zohydzaniem prac

całych organizacyi, paraliżuje się wysiłki najwybitniejszych ludzi, marnuje ich zdolności, zmusza do bezczyności, pozbawia inicyatywy, nie dopuszcza do energicznych i śmiałych posunięć na szachownicy życia społecznego.

Dosyć przeczytać polemiki, prowadzone w ostatnich czasach w pismach katolickich, dość posłuchać, co jedni o drugich mówią, aby zrozumieć, dlaczego jedni nie robią nic, a drudzy—niedołężnie. Gdy w czasach wolnościowych rozpoczynano pracę katolicko-społeczną, marzono o lepszej przyszłości, robiono plany i projekty, tworzono najrozmaitsze organizacye, wyszukiwano ludzi—był ruch, życie, optymizm, nadzieja! Od tych czasów akcya posunęła się mało, za to rozpoczęła się zaciekła, bezpłodna orgia wyszukiwania błędów dogmatycznych i odsądzania od katolicyzmu. I metoda ta nietylko doprowadziła do zmarnowania wielu sił i ludzi, do zatrzymania rozwoju niektórych organizacyi, do zniechęcania dużej liczby dzielnych jednostek, do marnowania siły i zapału, ale wogóle utrudniła akcyę katolicko-społeczną przez rozbudzanie wśród odzielnych działaczy nieufności, podejrzeń i niechęci.

Pesymizm zasadniczy co do ludzi uniemożliwia ich użycie, niszczy ich niezależność, zapał, zaufanie do siebie i do komendy. Powiedział ktoś, że do pracy politycznej iść trzeba z wiarą w Bogu, wiarą w ludzi, wiarą w siebie. O ileż większe znaczenie ma powyższa głęboka prawda życiowa dla działalności społeczno-katolickiej. Czyż jednak wiara w ludzi jest możliwą wobec skłonności natury ich do złego? Skłonna do złego? Prawda! Każda niańka zauważyć może, ile złych skłonności jest nawet w małem dziecku. Nie wolno jednak zapominać, iż obok tych złych dążeń w duszy ludzkiej istnieją skłonności dodatnie. Pożąda ona prawdy, dobra, walczy o nie, raduje się, gdy je posiądzie,—rozpacza, gdy straci,—grawituje do jakiegoś absolutu, w którym spodziewa się znaleźć ukojenie i radość i zapomnienie trosk, bólów i ciężarów życia. Należy się z tem wszystkiem liczyć. Trzeba tym dobrym stronom natury ludzkiej ufać. Trzeba także ufać w siłę i moc zdobywczą Prawdy, którą przecież katolicyzm reprezentuje.

Tylko taka zasada może być podstawą oceny w pracy społecznej ludzi i stosunków z nimi, jedynie, na niej, budując można dojść do zszeregowania jednostek o przekonaniach katolickich i zszeregowania potrzebnego do czynu. Tak więc taktyka bezzasadnych podejrzeń, rozbudzając nienawiści i nieufności, rozbijając obóz katolicki na partye i partyjki, uniemożliwia szerszą solidarną, planową i prawdziwie twórczą akcyę katolicko-społeczną. Obok tego, eliminując z obozu katolickiego wielu ludzi, którzy dla swych przekonań winni do niego należeć, utrwala w szerokich masach—wraz z poprzedniemi błędnemi metodami — przekonanie o upadku katolicyzmu. Bo i jakżeż?!

Przeciętnemu śmiertelnikowi przedewszystkiem sugestyonuje się moc niezwyciężoną prądów wolnomyślnych, potem kładzie mu się w głowę, że najrozmaitsze poważne społeczne organizacye nasze są wrogie katolicyzmowi i każe mu się szukać katolików nie w ich obrębie, lecz w obrębie partyi i organizacyi katolickich. Gdy zaś ten przeciętny śmiertelnik zechce się poinformować u źródeł o życiu obozu katolickiego, to przekona się, że i ten ostatni „okop św. Trójcy” w większej części zamieszkany jest nie

przez katolików autentycznych, lecz przez nadkatolików, przewrotnych katolików, udających katolików i t. d.

Doprawdy trzeba być bardzo uświadomionym po katolicku, aby zoryentować się w tym chaosie. Doprawdy trzeba być bardzo wyrobionym, aby nie zniechęcając się do pracy, iść z wiarą przebojem naprzód, w nadziei, że kiedyś prawda zwyciężyć musi.

Unikając lekkomyślnego pomawiania o modernizm i inne herezye, nie należy jednak pobłażliwości względem cudzych poglądów posuwać aż do tolerowania błędu.

Prawda jest nietolerancyjna i każdemu, kto ją posiada, komu jest ona droga, winno zależeć na tem, aby innym drogę do niej wskazać, osiągnięcie ułatwić. Z tego logicznie wynika dla katolików prawo i obowiązek wzajemnego kontrolowania swej ortodoksy. Kontrola taka przyniesie dodatnie wyniki, o tyle tylko o ile będzie jej towarzyszyło dokładne zbadanie kwestyi, nie podsuwanie przeciwnikowi myśli, których nie miał, unikanie złośliwości, a nadewszystko chęci zgnębienia bliźniego — słowem jeśli będzie się ona kierowała miłością chrześcijańską. Ale to jeszcze nie wszystko. Krytykujmy błędne poglądy lecz nie podawajmy w wątpliwość bez *bardzo ważnych dowodów i powodów dobrej woli przeciwników.* Stwierdzajmy, że dany osobnik w pewnych swych poglądach myli się, — nie ogłaszajmy go na tej zasadzie za niekatolika: heretyka, znajdującego się poza Kościołem.

Właśnie całym błędem, popełnianym przez część „naszych antymodernistów", jest podawanie w wątpliwość owej dobrej woli mylących się, przedstawianie ich jako wrogów Kościoła, ludzi przewrotnych, mających w głoszeniu błędów swe osobiste korzyści. Typ człowieka szlachetnego, ideowego, lecz mylącego się w swych poglądach religijnych -- zda się — dla nich nie istnieje.

Słuchając rozpraw i mów naszych extra-ortodoksów odnosi się wrażenie, że za katolików uważają jedynie tych, którzy nigdy w mowie czy piśmie nie popełnili najsubtelniejszego błędu dogmatycznego.

Nie potrzebuję dodawać, iż jest to pogląd nieścisły. Niekatolikiem jest ten, kto świadomie w błędzie trwa; kto nie wie, że błądzi—niema w nim winy. Pobieżna chociażby znajomość naszych stosunków przekonywa, jak mało jest niekatolików, występujących świadomie wrogo przeciw katolicyzmowi.

Olbrzymia większość to ludzie, błądzący przez nieświadomość: są to więc nie niekatolicy, a raczej źli katolicy. Nie nadeszły jeszcze czasy idealnych ludzi i Bóg wie czy kiedykolwiek nadejdą. Kościół tu na ziemi istnieje nie dla aniołów lecz dla ludzi ułomnych. Tym jedynie potrzebne są środki, jakie podaje ku udoskonaleniu. Idealnych katolików nawet w czasach największego rozkwitu katolicyzmu nie było, wyjąwszy wielkich świętych, a i ci byli tylko ludźmi.

Godząc się tedy z istnieniem niedoskonałych katolików, nie odpychając ich od siebie i nie przerażając się faktem ich istnienia, należy z tem złem walczyć, krzewiąc i szerząc uświadomienie, ukochanie i znajomość ideałów katolickich, krzepiąc serca i wolę, dając świadectwo prawdzie nietylko słowem lecz i czynem.

Prostować błędy i przesądy, przestrzegać przed fałszywemi teoryami, wykazywać rozdźwięki w postępowaniu nieuświadomionych i niekonsenkwentnych katolików, wypływające z ich nieznajomości zasad wiary, — oto jedne z ważniejszych zadań publicystów, dziennikarzy, literatów i działaczy katolickich.

Orzekanie, kto jest heretykiem i wyłączanie z Kościoła—to rzecz władzy duchownej.

Tadeusz Błażejewicz.

O pochodzeniu człowieka.

Kwestya pochodzenia człowieka ogólnie była rozwiązywana w ten sposób, jaki przedstawia nam Biblia. Dosłownie brano opowiadanie biblijne i tłomaczono, że Pan Bóg z mułu ziemi ulepił człowieka i tchnął weń dech żywota, że więc człowiek jest bezpośrednio przez Boga stworzony [1]). Tłomaczenie to panowało bezpodzielnie długie lata.

Pierwszy, który ośmielił się wystąpić przeciwko takiemu tłomaczeniu, był (koniec XVIII w.) I. Burnett (lord Monboddo) w dziele pod tyt. „O początku i rozwoju języka". Mówi on w tem dziele o pochodzeniu człowieka od małpy. Ma się rozumieć, że twierdzenie takie spotkało się z powszechnym protestem. Występowali później jeszcze z twierdzeniem o zwierzęcem pochodzeniu człowieka I. E. Doornik (lekarz niderlandzki), Ballenstedt, T. Krüger etc., ale mniemania owe pozostały bez głośniejszego echa. Sprawa pochodzenia człowieka od zwierzęcia nabrała znaczenia i rozgłosu dopiero od chwili zjawienia się w r. 1859 książki Darwina: „O powstaniu gatunków". Wprawdzie Darwin nic nie mówił w tem dziele o pochodzeniu zwierzęcem człowieka, ale dał okazyę do tego innym. Uczynili to mianowicie Huxley, K. Vogt, a przedewszystkiem Ernest Haeckel, który w „Ogólnej morfologii ustrojów" (1866) i „Naturalnej historyi stworzenia" (1868) przedstawił zwierzęcy rodowód człowieka. Uprzedzony w ten sposób Darwin, przyłączył się do swych zwolenników w ogłoszonem w r. 1871 dziele p. t. „Pochodzenie człowieka i dobór płciowy" i potwierdził wszystkie wywody i wnioski Haeckla.

I odtąd teorya pochodzenia człowieka od zwierzęcia w krótkim czasie obiegła świat cały kulturalny. Dziś niema wpośród nas, ktoby o tem nie słyszał, nie czytał.

Dużo napisano o pochodzeniu człowieka od zwierzęcia. I u nas tą

[1]) Niektórzy teolodzy, widząc, że niestosowne jest, aby Bóg bezpośrednio miał lepić człowieka, powiadali, że aniołowie na rozkaz Boży to uczynili.

kwestyą bardzo się interesowano. Świadczą o tem dość liczne dzieła, kwestyi tej poświęcone. Jeżeli dziś piszę jeszcze w tej sprawie, to tylko dla tego, aby przedstawić bezstronnie wyniki badań dzisiejszych i odpowiedzieć na pytanie, jak na tę kwestyę zapatruje się Kościół katolicki i uczeni katoliccy.

Dla Haeckla i jego zwolenników nie ma najmniejszej wątpliwości, że człowiek całkowicie pochodzi od zwierzęcia. „Możemy wypowiedzieć stanowczo—pisze Haeckel [1] — że pochodzenie człowieka od jednego z ogniw łańcucha form naczelnych trzeciorzędnych nie jest już dzisiaj hipotezą wątpliwą, lecz natomiast faktem historycznym, sprawdzonym i dowiedzionym." Hans Friedenthal twierdzi znów wyraźnie, że człowiek nie tylko pochodzi z małpiego rodu, lecz także jest najdoskonalszą małpą [2].

Przeciwko twierdzeniu o bezpośredniem pochodzeniu człowieka od małpy wystąpili inni przyrodnicy i oświadczyli się za dalszem pośredniem pokrewieństwem między człowiekiem a małpą [3]. Człowiek z jednej strony, a małpa z drugiej — to dwie odnogi tego samego drzewa genealogicznego. Zachodzące między nimi podobieństwo wynika nie stąd, że małpa dała początek człowiekowi, ale że człowiek razem z nią wyszedł ze wspólnej formy pierwotnej, która zresztą była więcej zbliżona do niego, aniżeli wszystkie dzisiejsze małpy i małpiatki [4].

Czy w ten lub inny sposób będą tłomaczyli powstanie człowieka — wszyscy jednogłośnie uznają za fakt pewny a nie ulegający wątpliwości, że człowiek pochodzi od zwierzęcia [5].

Jakie są argumenty, którymi zwolennicy zwierzęcego pochodzenia człowieka udowadniają swoje twierdzenie?

Właściwie mówiąc—niema pozytywnych, realnych dowodów — jednem słowem faktów, na których możnaby było oprzeć i z całą pewnością twierdzić o tem, że człowiek pochodzi od zwierzęcia. Przy ukazaniu się człowieka na ziemi nie było nikogo, niemasz śladów jakichkolwiek, świadczących o sposobie ukazania się jego. I w późniejszych dziejach ludzkości nigdy nie zauważono, aby kiedykolwiek przemiana taka miała miejsce. Nikt takiej przemiany nie był świadkiem. Więc faktów, stwierdzających przejście od formy zwierzęcej do ludzkiej, pozytywnych nie mamy.

Dowody zwykle czerpią z zoologii i paleontologii. Porównawcza morfologia (nauka o formach) wskazuje wielkie podobieństwo w budowie czło-

---

[1]) O pochodzeniu człowieka ze stanowiska dzisiejszej wiedzy,—tłom. pol. Dra M. Grochowskiego. Lwów 1901 str. 37.

[2]) Por. A. Michaelis „Stammt der Mensch vom Affe ab?" 1900 str. 195.

[3]) Herm. Klaatsch „Die Stellung des Menschen in der Reihe der Säugetiere". Globus, 1899 str. 329. Kremer „Wszechświat i człowiek". Warszawa rozd. IV, 203 etc.

[4]) Por. E. Majewski „Nauka o cywilizacyi". Warszawa 1908 str. 179.

[5]) Nie brak hipotez zupełnie przeciwnych! Karol Snell (Vorlesungen über die Abstammung des Menschen. Leipzig 1887) twierdził, że nie człowiek pochodzi od zwierzęcia, ale zwierzę pochodzi od człowieka. Zwierzę, według niego, to nierozwinięty człowiek. Dzisiaj to samo głosi G. K. Matte prof. uniwersytetu w Palermo (Verita ed errori nella teoria dell'evoluzione. Palermo 1907). Według niego małpy zawdzięczają swój początek pewnej części ludzi, która skutkiem niekorzystnych warunków zewnętrznych uległa zwyrodnieniu.

wieka i zwierząt, bardziej doń zbliżonych. Ciało składa się z takich samych elementów, szkielet człowieka podobny do szkieletu małp człekokształtnych, i wogóle cała budowa człowieka w najmniejszych szczegółach nie przedstawia różnicy wielkiej; są niewielkie, ale te powstały dzięki dalszemu rozwojowi człowieka przypadkowemu. Skąd powstało to podobieństwo budowy i czynności, jeżeli nie zewspólnego źródła pochodzenia?

Są jednak przyrodnicy, którzy anatomią porównawczą się zajmują, nie chcą jednak uznać, przeciwnie głośno protestują przeciwko takiemu utożsamianiu składu budowy organizmu człowieka i małp człekokształtnych [1]). U człowieka, powiadają, powierzchnia czaszki, jej długość i wysokość są nieporównanie większe od powierzchni, długości i szerokości czaszek małpich. Czaszka ludzka odznacza się w przeciwieństwie do małpiej silniejszym stosunkowo rozwojem górnej i tylnej części, a słabszym przedniej czyli twarzowej. Czoło ludzkie jest więcej strome, a szczęki mniej naprzód wysunięte, aniżeli czoło i szczęki małpie. Stąd t. zw. kąt twarzowy wynosi u ludzi 70—90^0, gdy u małp najwyżej rozwiniętych 30^0—35^0; Powierzchni czaszki odpowiada jej objętość. U człowieka równa się ona 1356 ctm. sześć., u małp dwa razy mniej, chociaż objętość ciała całego jest równa ludzkiemu. Ciężar mózgowy jest różny. Mózg ludzki waży przeciętnie 1300—1400 gr. natomiast mózg goryla 475 gr. Rozwój mózgu jest inny: u człowieka pokrywa się bruzdami najpierw płat czołowy, u małp najpierw tylna część półkul mózgowych. Wreszcie człowiek posiada taką ilość zwojów i bruzd, jakiej niema żaden mózg zwierzęcy. Dalej—człowiek ma dwie ręce, przeznaczone do chwytania i dwie nogi do chodu. U małpy nietylko górne, ale i dolne kończyny są właściwie rękami. Stąd małpa nie może stać ani iść prosto, jak człowiek, lecz jeśli jest do tego przymuszona, czołga się na czworakach. Z tego powodu niektórzy przyrodnicy zaliczyli ludzi do osobnego rzędu ssących, do dwurękich a małpy do czwororękich. Oprócz tego u człowieka ręce są krótsze i słabiej zbudowane niż nogi, u małp zaś przednie odnoża przewyższają długością i siłą tylne; kości udowe u człowieka różnią się od tychże kości u małpy; uda i łydki stanowią wyłączną właściwość ciała ludzkiego; wielka różnica już w miednicy człowieka i małpy, w klatce piersiowej etc.

Drugim argumentem z dziedziny zoologii—to porównawcza nauka o rozwoju indywiduum. Jest to t. tw. prawo biogenetyczne, którem szafuje najbardziej E. Haeckel. Prawo to brzmi: entogeneza (t. j. rozwój osobnika) jest skróconem i szybkiem powtórzeniem filogenezy (t. j. rozwoju pnia), zależnem od czynności fizyologicznych dziedziczności i przystosowania. W myśl więc tego prawa można w stadyach rozmaitych rozwoju embryonalnego osobników z wyższych gatunków śledzić historyę rozwoju, jaki przebiegali przodkowie bezpośrednich rodziców osobnika. E. Haeckel szczegółowo opisuje

---

[1]) Dr. Joh. Ranke „Der Mensch". Leipzig 1894 t. I. str. 409; Vergleichung des Rauminhaltes des Rückgrab—und Schädelhöhle als Beitrag zur vergleichenden Psychologie 1896; Dr. Joh. Bumüller „Die Entwickelungstheorie und der Mensch" München.

rozwój embryonu i dochodzi do wniosku, że człowiek w swoim rozwoju przechodził do 30 zmian [1]).

Są jednak przyrodnicy W. His, Dr. Radl, J. Ranke, A. Fleischmann, Oskar Hertwig, Ranke, Dr. Dennert [2]), którzy tego prawa zaprzeczają, a po ostatniem skompromitowaniu się Haeckla z racyi embryonów—odrzucają całkowicie. Oskar Hertwig np. twierdzi, że rozwój indywidualny nie jest powtórzeniem rozwoju form gatunku, ale dalszym ciągiem rozwoju gatunku. I ma, wychodząc z założenia teoryi ewolucyi zupełną słuszność. Dlatego też O. Wasmann powiada „nie można uznać biogenetycznego prawa w ogólności, a więc i w zastosowaniu jego do człowieka, jako dowód jego zwierzęcego pochodzenia. Jeżeli bowiem przyjmiemy to prawo, musimy dojść do pewnych niekonsekwencyi. Wiadomem jest, że młode małpy mają większe podobieństwo w budowie czaszki i twarzy z człowiekiem, aniżeli starsze. Według prawa biogenetycznego trzebaby przyjąć, że małpy, przechodząc w młodości formy bardziej zbliżone do ludzkich, pochodzą od człowieka, a nie człowiek od małpy! [3]),

Aby to swoje twierdzenie utrzymać, wskazują w człowieku na pewne pozostałości po dawnych przodkach, szczątki, organa, które dawniej były potrzebne, a potem nieużywane zanikły. Pamiątkami takiemi są: wyrostek robaczkowy przy ślepej kiszce (processus vermiformis), gruczoły mleczne, kość ogonowa, pokrycie włosem ciała ludzkiego, mięśnie uszne i szpiczaste zakończenie uszu (wystający punkcik). Te wszystkie jednak t. zw. narządy szczątkowe według niektórych przyrodników (Dr. Albrecht, A. Weismann, Huxley) nie stanowią właściwego dowodu, przemawiającego za zwierzęcem pochodzeniem człowieka. Chociaż nieznane dotychczas zadanie każdego z tych narządów szczątkowych—to jednak przypuszczać należy, mają one jakąś rolę do spełnienia. Pojedyńcze zaś wypadki narządów szczątkowych, specyalnych (chłopców z ogonem, uwłosienie kobiet, sutki u kobiet etc.), na które ustawicznie się powołują, nie są argumentem!

Wyjątkowe bowiem zboczenia i wyskoki są anormalnymi objawami. Opowiadają, że niedawno w Łowickiem był człowiek, który miał troje oczu; opierając się na powyższej argumentacyi, można byłoby wnioskować, że przodkowie ludzi mieli troje oczu!? To tylko zjawisko anormalne.

Dalej są jeszcze dowody pokrewieństwa krwi pomiędzy człowiekiem i małpami. Z licznych doświadczeń wiadomo, że jeżeli zastrzykniemy krew zwierząt jednego gatunku do żył innego gatunku, to następują chorobliwe zjawiska, zaburzenia. Jeśli zaś to samo uczynić z krwią zwierząt pokrewnych—zaburzenia nie będzie. Otóż zaburzenia krwi niema, jeżeli jest połączenie krwi człowieka i małp wyższych.

---

[1]) E. Haeckel „Zarys filozofii monistycznej", tłom. polsk. Warszawa 1905 str. 72—87.

[2]) Dr. Ranke „Der Mensch" Leipzig 1894; A. Fleischmanu „Die Descendenz theorie" Leipzig 1901; O. Hertwig: „Handbuch der vergleichenden und experimentellen Entwickelungsgeschichte der Wirbeltiére; tenże „Allgemeine Biologie"; Dr. Dennert „Die Wahrheit über E. Haeckel und seine Welträtsel". Halle 1906.

[1]) E. Wasmann: Der Kampf und die Entwickelungsproblem in Berlin. Freiburg in Breisg 1907 str. 39, 45.

Jednak i ten dowód jest odrzucany, a przynajmniej prawdziwość, zastosowanie i wyciąganie wniosków ulegają wątpliwościom. Wnioskowanie to jest błędne, z tego względu, że utożsamia się dwie rzeczy tylko na tej podstawie, iż są zgodne ze sobą co do jednej jakiejś cechy. Nikt przecież nie powie, że lipa pochodzi od jaśminu, dlatego że obie te rośliny mają swe korzenie w ziemi, a pień i gałęzie ponad ziemią. Słusznie Dr. J. Bumüller powiada: „chemiczne pokrewieństwo krwi może być wskazówką pochodzenia, ale nie musi go dowodzić, gdyż może ono być wywołane przez podobne stosunki życia, fizyologiczne lub inne, jeszcze nam nieznane warunki."

A. Rössle (Biolog. Zentralblatt 1905 n. 11, 12) twierdzi, że reakcya krwi pozwala tylko na wnioskowanie, że jedno zwierzę bardziej zbliżone jest do drugiego, a nie może być mowy o pochodzeniu; dalej że skład chemiczny ciała krwi nie jest formą stałą, ale z biegiem czasu się zmienia. Wreszcie bywają wypadki, że nie zawsze podobieństwo krwi zgadza się z podobieństwem morfologicznem. Często bowiem reakcya krwi wskazuje blizkie pokrewieństwo zwierząt, gdy tymczasem według morfologicznego obliczenia stoją one daleko od siebie. Argument więc podobieństwa krwi nie może być brany ściśle w rachubę i nie należy zbytnio na nim się opierać.

Ale najważniejszy argument, w pojęciu darwinistów, powinien być ten, że dziś znane są formy przejściowe, pośrednie między małpą i człowiekiem, albo przynajmniej formy, z których rozwinął się człowiek—należące jednak jeszcze do świata zwierzęcego. Jest to dowód t. zwany paleontologiczny.

Długo taki typ pośredni był poszukiwany. A kiedy znaleziono pewne szczątki kości lub czaszki—przyrodnicy wspólnemi siłami starali się zbadać, do kogo należą te resztki. Walka pomiędzy nimi trwała i trwa jeszcze dzisiaj. Nie mogą zgodzić się na ostateczny wniosek. Rzecz to zrozumiała! Jednak darwiniści podają je jako dowody. A więc czaszki starca i kobiety z grobu w Cro-Magnon, czaszka z doliny Neander (Neanderthal) pod Düsseldorfem, dwa szkielety z pieczary wapiennej w Spy d'Orneau (Belgia), które bardzo są zbliżone do człowieka z Neanderthal; dalej szczątki odnalezione przez Eugeniusza Dubois 1891 r. na wyspie Jawie (Składały się z czaszki, 2 zębów trzonowych, kości ramieniowej i kości udowej. Człowiek ten otrzymał nawet nazwę Pithecanthropos erectus—małpolud wyprostowany). Wreszcie szczątki ludzkie znalezione w Krapinie w Chorwacyi, w La Chapelle aux Saints. Wszystkie te wykopane szczątki ludzkie, a przynajmniej „przedludzkie" jak je nazywają, wyraźnie noszą ślady form pośrednich pomiędzy człowiekiem i zwierzęciem. Jest więc typ pośredni odnaleziony. Człowiek od zwierzęcia pochodzi.

A jednak przeciwko tym kopalnym faktom, tym łączącym człowieka ze zwierzęciem formom uczeni przyrodnicy występują nieraz bardzo ostro, nie widzą w nich tych form przejściowych. Pithecanthropos erectus z Jawy — to zwyczajna małpa, należąca do grupy *Hylobatidów*, która pod pewnym względem bardzo zbliżona jest do człowieka, ale pod

---

[2]) Dr. J. Bumüller „Die Enkwickelungstheorie und der Mensch". München 1907 str. 48.

wielu innymi względami bardziej zbliżona jest do małp niższych. Czaszka z doliny Neander — to nie ogniwo pośrednie między człowiekiem i zwierzęciem, ale zwyczajny człowiek pierwotny (homo primigenius). Toż samo twierdzą o szczątkach z Krainy, La Chapelle-aux Saints. Powyższe więc podane wykopaliska nie są dowodem, aby człowiek miał pochodzić od zwierzęcia. Dotychczas formy pośredniej nie znaleziono. Przedczłowieka w przekonaniu ich nie było zupełnie. Oto co np. Virchow, który badał szczegółowo prawie wszystkie okazy wykopane, na jednym ze zjazdów powiadał: „Napróżno zwolennicy darwinizmu szukali wszędzie ogniw, któreby połączyły człowieka z małpą. Nie odnaleziono dotychczas ani jednego. Dotychczas tak zwany proanthropos, przedczłowiek, który miał przedstawiać ogniwo brakujące, nie raczył się ukazać. Żaden z uczonych nie ma pretensyi do jego zobaczenia. Oto dlaczego „przedczłowiek" nie zajmuje czasu w dyskusyach antropologów. Niektórzy mieli go widzieć we śnie, ale obudzeni nie śmieliby twierdzić, że go spotkali. Nadzieja nawet przyszłego odnalezienia tego „przedczłowieka" jest bardzo hypotetyczna, gdyż nie żyjemy we śnie, ani w świecie idealnym, ale w świecie realnym" (zb. cyt. Zahm. L'évolution et le dogme. Paris 1897 str. 212).

Wreszcie jako ostatni argument przytaczano prawo ogólne ewolucyi. Prawo ewolucyi w całym wszechświecie panuje. Wszystko się rozwija. Począwszy od świata fizycznego, a kończąc na istotach organicznych—wszystkie się rozwijają, przybierając z czasem coraz doskonalsze formy istnienia. Od istot najprostszych jednokomórkowych—rozwijały się coraz doskonalsze formy. Pomiędzy światem zwierzęcym i roślinnym różnic żadnych niema istotnych. Wszystkie istoty stanowią jedno królestwo życia organicznego. Dzisiejszy świat wyżej uorganizowany, zwierzęcy, pochodzi od najprostszych istot jednokomórkowych. Jeżeli więc rozwój istniał w całym świecie, jeżeli przez rozwój tłomaczymy powstanie dzisiejszego świata organicznego—dlaczego tego samego prawa nie należy zastosować do człowieka, dlaczego on jeden ma być wykluczony z tego ogólnego prawa? Niema najmniejszej racyi po temu. Dlatego też należy przyjąć, że i człowiek, podlegając ogólnemu prawu, rozwinął się ze zwierzęcia, powstał drogą ewolucyi od niżej uorganizowanych zwierząt.

Argument ten najpoważniejszy. Faktu ewolucyi naukowo uzasadnionego nie można lekkomyślnie zaprzeczać. Prof. J. Nussbaum twierdzi, że teorya przemiany gatunków jest niewzruszoną tezą naukową. Można się sprzeczać co do sposobu wyjaśnienia ewolucyi, przyczyn, które wpływały i wpływają na rozwój gatunków (lamarkizm, darwinizm, weismanizm (t. j. neodarwinizm) neolamarkizm, teorya mutacyi etc.) ale faktu zaprzeczyć nie można. Należy jednak zwrócić uwagę, chcąc być bezstronnym, że i dzisiaj jeszcze występują ostro przyrodnicy i pomimo tylu dowodów odrzucają całą teoryę ewolucyi.

Pozostawiam powyższy argument bez odpowiedzi.

Powyższe argumenty i kontrargumenty każdego mogą przekonać, jak naogół kwestya zwierzęcego pochodzenia człowieka dzisiaj się przedstawia. Dalsze tłomaczenia są tu zbyteczne!

Stawiam teraz pytanie: jak mamy zapatrywać się na kwestyę pochodzenia człowieka od zwierzęcia, czy możemy przyjąć w całości twierdzenia Darwinizmu?

Aby dać odpowiedź bezstronną i opartą na faktach rzeczywistych, należy przedewszystkiem rozróżnić pomiędzy *kwestyą faktu* i *kwestyą możliwości*.

Kwestya faktu do dzisiaj przez żadnego poważnego przyrodnika nie była postawiona na seryo—a więc i odpowiedzi nań dać nie można. Jeżeli Virchow marzenia i wysiłki pewnego grona przyrodników nazywał snem lub majaczeniem, to dzisiaj warunki w danej kwestyi nic się nie zmieniły. Kwestya faktu zależy od faktycznych, pozytywnych danych, na których możnaby się oprzeć; kwestya faktu zależy od realnych argumentów i zjawisk, faktów tak jak to mamy w świecie niższoustrojowym, aby namacalnie i z pewnością można twierdzić, że tak jest; kwestya faktu zależy od odszukania pośrednich szczebli, ogniw łączących człowieka ze światem zwierzęcym, bo one by były dostatecznym dowodem dla wykazania prawdy faktycznej. Tego wszystkiego jednak dzisiaj nie posiadamy. Tego wszystkiego brak nam. A więc w kwestyi faktu dziś absolutnie nic nie możemy powiedzieć. Powinniśmy przynajmniej powstrzymać się od wyrokowania. I tak postępują bezstronni, uczciwi i prawdziwie obeznani z metodami przyrodniczemi uczeni. „My nie możemy nauczać, mówił Virchow, my nie możemy określać jako zdobycz nauki, że człowiek pochodzi od małpy albo od innego zwierzęcia". Virchow, Agassiz, Wallace i wielu innych byli nieprzejednanymi przeciwnikami pochodzenia człowieka od zwierzęcia. „Rzeczą jest prawdziwie zabawną, pisze prof. Klaatsch (Świat i Człowiek t. III, 196), przejrzeć protokóły posiedzeń towarzystw uczonych... Nie wiele brakowało, by kiedy *doszło do głosowania*... wtedy uczeni podzieliliby się na dwa obozy: ten za człowiekiem, ów za małpą". I jakżeż to można wobec niezdecydowanych i nieuzasadnionych dowodów, mówić o *fakcie* pochodzenia człowieka od zwierzęcia?

Przejdźmy teraz do kwestyi możliwości. Czy można przypuszczać i przyjmować w teoryi, że prawo ewolucyjne objęło także człowieka, t. j. czy człowiek *może* pochodzić od zwierzęcia?

Zwolennicy darwinizmu tutaj przynajmniej twierdzą śmiało i stanowczo, że człowiek może pochodzić od zwierzęcia. W rozwiązaniu jednak tej kwestyi możliwości, należy rozróżnić stronę duchową człowieka od strony fizycznej. Przyczynę takiego rozróżniania należy upatrywać i uzasadniać różnicą, jaką skonstatować możemy pomiędzy człowiekiem i zwierzęciem. Różnicę tę stanowi strona duchowa w człowieku, jakiej zwierzę żadne nie posiada. Człowiek przecież jest czemś innem, czemś wyższem, aniżeli zwierzę.

Człowiek jest przedmiotem dwóch nauk: zoologii i psychologii. Zoologia rzeczywiście upatruje w człowieku zwierzę, zalicza go do grupy kręgowców (primates), gdyż rzeczywiście w człowieku, jego stronie fizycznej, są zjawiska i objawy, które uzasadniają to zoologii twierdzenie. Ciało z takich samych elementów się składa, forma organiczna i organy według jed-

nego jakby planu zbudowane, rozwój embryonalny takim samym podlega procesom, zmysłowe zjawiska są takie same, jednem słowem niemasz w zwierzęciu objawów, których nie można byłoby wskazać w człowieku. To jest jasne dla każdego. Ale nie w tem treść kwestyi. Przyjmujemy, że wszystko to, co jest w zwierzęciu, jest w człowieku; ale odwróćmy teraz pytanie—czy *wszystko*, co jest w człowieku jest także w zwierzęciu, chociaż w stanie najprostszym? czy człowiek niema nic wyższego duchowego, coby go od zwierzęcia różniło?

Dla Haeckla i jego zwolenników niema trudności z rozwiązaniem, gdyż jednem słowem całą kwestyę rozcinają. Wszystko to, co ma człowiek, jest już w zwierzęciu. W człowieku to tylko bardziej jest rozwinięte. Pod względem duchowym żadnej niema różnicy jakościowej, jest tylko różnica ilościowa, stopniowa. Wyższy rozwój w człowieku władz umysłowych, duchowych konstatować można, ale różnicy pomiędzy temi władzami w człowieku i zwierzęciu istotnej niemasz żadnej. Gdyby rzeczywiście tak było— zoologia miałaby wszelkie prawo decydowania o pochodzeniu człowieka.

Ale tak naprawdę nie jest. Człowiek jest czemś innem, aniżeli zwierzę, człowiek ma coś więcej, aniżeli zwierzę. Człowiek ma to coś, tę stronę duchową, którą zajmuje się psychologia, co stanowi istotną różnicę pomiędzy nim i zwierzęciem. Oto co sam Darwin pisze: „niezmierną jest pod względem duchowym różnica między najwyższą małpą i najniższym dzikim człowiekiem, wtedy nawet, kiedy duszę choćby takiego dzikiego, który nie posiada wyrazu na oznaczenie liczby wyższej nad cztery, a żadnych oderwanych nazw zresztą niema dla najpospolitszych przedmiotów czy uczuć — z najwyżej uorganizowaną małpą porównywać będziemy. Niewątpliwie różnica ta wciąż jeszcze niezmierną pozostanie, choćby nawet jedna z małp wyższych do tego stopnia wyszlachetnioną czy ucywilizowaną się stała, na jakim znajduje się pies z współplemienną sobie formą, z wilkiem czy szakalem. Mieszkańcy Ziemi Ognistej należą do najniżej stojących barbarzyńców, a jednakże z ciągłego nie mogłem wyjść podziwu, jak trzech owych ludzi znajdujących się na pokładzie okrętu dorównywało nam w całem swem uzdolnieniu i większości władz duchowych" (Platz. Człowiek. str. 111 tłom. polsk.).

Jakie są specyalne dane, po których możnaby odróżnić człowieka od zwierzęcia, jakie są objawy, które właściwe tylko człowiekowi *wyłącznie*, nie pozwalałyby na utożsamienie go ze zwierzęciem a tem samem na wniosek pochodzenia jego od zwierzęcia przynajmniej pod tym względem duchowym. Oto niektóre z nich: mowa artykułowana, moralność, religijność, postęp w jednostce i gatunku etc. Te przymioty, które wskazują na pierwiastek inny, aniżeli materya, pierwiastek duchowy, stanowią granicę pomiędzy światem zwierzęcym i człowiekiem—granicę, której przekroczyć zwierzęta nie mogą.

1. Człowiek, nawet na najniższym szczeblu kultury pozostający, posiada wyrazową mowę czyli język. Mowa ludzka może być bardzo ubogą, ale jest i rozwija się coraz bardziej. Homo alalus — człowiek bezmowny Haeckla należy do bajek. Przeciwnie zaś, zwierzęta nie mówią—nawet na migi. Co prawda, zwierzętom należącym do jednego gatunku, nie brak

możności dawania sobie znać o stanach swoich zewnętrznych do pewnego stopnia, zdolności ich wszakże w tym kierunku z mową ludzką porównywać się nie mogą. Dźwięki bowiem, jakie zwierzęta wydają mogą być conajwyżej porównane do dźwięków, jakie i człowiek wydaje, gdy go ktoś uderzy, albo gdy go jaki cios spotka, ale to nie stanowi istoty mowy. Bo mowa ludzka nie jest dźwiękiem jedynie, ale jest jakby ucieleśnioną, głośno wypowiedzianą myślą, obejmującą nietylko pojedyńcze wyrazy, ale całe zdanie i harmonijnie uszeregowane ich następstwo.

Mowa zwierzęca jest całkowicie instynktowa, udziela się nie drogą nauki, ale dziedzicznością natury; mowa ludzka zaś nabytą być może tylko drogą nauki—więc jest dziełem inteligencyi. Jeżeli dziecię odosobnione od ludzi, nie słysząc mowy ludzkiej wyrośnie samotnie—to pozostanie niemem; zwierzę przeciwnie, choćby najmłodszem w obce sfery przeniesionem zostało, instyktownie dźwięki rodziców swoich wydawać będzie (zdolność pewnych ptaków do wymawiania pewnych wyrazów—nie jest mową, ale tresurą). Mówić — nie znaczy wydawać krzyki, choćby krzyki artykułowane, ale mowa polega na władzy abstrahowania i uogólniania — tego zaś rodzaju władzy nie można przyznać zwierzętom. Zwierzę, powiada Schopenhauer, czuje i patrzy, człowiek nadto myśli i wie. Dlatego też musimy wyznać, że zdolność mowy tworzy ową bezwzględną linię graniczną, dzielącą zwierzę od człowieka.

2. Pojęcie moralności jest drugim słupem granicznym pomiędzy człowiekiem i zwierzęciem. Wszyscy ludzie, nawet na najniższym szczeblu cywilizacyi pozostający, mają pewne zasady moralności: wszystkim głos sumienia mówi, że jest różnica pomiędzy złem i dobrem, że trzeba czynić dobro, a unikać zła etc. Zasady te każą przypuszczać świadomość wolności w człowieku i odpowiedzialność za swoje czyny, a są wynikiem inteligencyi, jaką człowiek jest obdarzony. Tymczasem wśród zwierząt, nawet najbardziej rozwiniętych, nie można zauważyć zjawisk, któreby kazały przypuszczać pojęcie moralności. Nie widziano wśród zwierząt walki pomiędzy uczuciem wzniosłem, szlachetnem i dążeniem nizkiem. Wszystkie ich czyny kierowane są koniecznością zmysłową! Pozatem nic.

3. A religijność czy nie właściwą jest tylko człowiekowi? Powiadają, że człowiek z natury jest religijny i dlatego też u wszystkich ludów znajdujemy religę;—niereligijność, ateizm znajdujemy ale wśród jednostek i to już wyższej kultury [1]).

Tymczasem u zwierząt nie znajdujemy żadnych śladów religijności. Boć nikt chyba nie uwierzy, aby pies warczący i szczekający na widok rozpiętego parasola, którym porusza lekki wiaterek, wierzył w jakiś czynnik niewidzialny, duchowy, a tem samem miał początek religii; nikt nie uwierzy,

---

[1]) Niektórzy filozofowie twierdzą, że właściwie ateuszów, zaprzeczających istnienie bezwzględnej pierwszej przyczyny wszechświata niema. Zaprzeczający Boga osobowego, widzą Go w całym wszechświecie—to panteiści. Ateizm nie jest teoryą filozoficzną, lecz smutnym wyrazem krótkowidztwa umysłowego, owszem zupełnej ślepoty i ciemnoty intelektualnej. Fr. Klimke „Znaczenie Monizmu w chwili obecnej". A. K. 1910 t. IV, str. 114.

aby pies miał uważać pana swego za jakieś bóstwo. Przywiązanie psa do pana—to uczucie stadowe!

Religijność jest wynikiem inteligencyi *ludzkiej*. W podstawach każdej religii można odnaleźć działanie zmysłu człowieka. Bo zastanawiając się człowiek—skąd powstał, jaki jego cel, dochodzi do przekonania, że jest przyczyna Najwyższa, od której wszystko zależy.

4. Wreszcie jednostki, jak również cały rodzaj ludzki, mogą się doskonalić, postępować. Człowiek przychodzi na świat w stanie nieudolności, godnej naprawdę pożałowania; posiadając jednak rozum, może z czasem nauczyć się wszystkiego, może zaprządz w swą służbę najpotężniejsze zwierzęta, zapanować nad martwą materyą i jej siłami, zużytkować je za pomocą narzędzi do swoich celów, stać się panem i królem natury. Dla niego, z jakichkolwiek zrodził się rodziców, stoi otworem wszelka nauka i sztuka: dziecko dzikiego murzyna, wychowane wśród kultury może zostać uczonym, filozofem etc. Doświadczenia, nabyte przez poprzednie pokolenia ludzkie, stają się własnością następnych. Zwierzęta nie mają takiego postępu. Młode czy stare, spełniają swe czynności od wieków, na jedną modłę, którą im natura dała w instynkcie: młoda pszczoła np. nie uczy się budować komórek od starszych, a starszę nie lepiej budują od młodych; plastry dzisiejsze nie przewyższają doskonałością dawnych.

Nadto zakres działania zwierząt jest ściśle ograniczony: pszczoły umieją lepić tylko swoją komórkę, jaskółka tylko swoje gniazdo. Podobnie czynności, do których przyzwyczajamy zwierzęta zapomocą tresury, nie wpływają wcale ani na dalszy rozwój ich samych, ani na rozwój innych, przebywających w ich towarzystwie: pies np. którego nauczyliśmy różnych sztuczek nie postąpi własnemi siłami ani jeden krok dalej t. j. nie wynajdzie ani jednej nowej; inne zaś psy, któreby żyły z nim jaknajdłużej—pozostawione sobie samym, nigdy go nie będą naśladowały. Najzmyślniejsza również małpa nie zaświeci zapałki, nie dołoży drzewa do płonącego już ogniska, choć chętnie przy niem się grzeje i nieraz widzi, jak te wszystkie czynności spełnia człowiek (K. Wais: Psychologia IV, str. 115).

Z tego więc wszystkiego widocznem jest, że człowiek, obdarzony tylu i takiemi szczególnemi i wyjątkowemi prerogatywami—ma w swoim ciele żyjącem jeszcze jakiś czynnik, który wszystko to sprawia, i który stanowi przepaść niczem niezrównaną pomiędzy człowiekiem i światem zwierzęcym. Ewolucya nawet nie mogłaby wpłynąć na powstanie tych prerogatyw—gdyż, gdyby tak było, musiałaby stwarzać te przymioty z niczego. Tego zaś nie przyjmujemy i nie przypisujemy ewolucyi.

Te więc pobudki, skłaniają nas do tego wniosku, że nie możemy uznać i przyjąć za możliwe, aby człowiek, jako człowiek t. j. obdarzony wyższymi przymiotami umysłowymi drogą ewolucyi miał się rozwinąć ze zwierzęcia. Powiedziałem przed chwilą „człowiek, jako człowiek t. j. obdarzony wyższemi przymiotami umysłowymi". Powiedziałem zaś to w tym celu, aby wyrazić i podkreślić, że istotę człowieka stanowią te przymioty umysłowe, że przez nie człowiek różni się od zwierzęcia, jest człowiekiem. Nie przypuszczamy zaś, aby te umysłowe i duchowe przymioty człowieka miały

podlegać rozwojowi. Duch jest duchem, jest substancyą prostą, niezłożoną, rozwijać się nie może! Te więc przymioty umysłowe, duchowe, stanowiące istotę człowieka, są główną przeszkodą, aby zgodzić się na twierdzenie darwinizmu, że człowiek pochodzi od zwierzęcia; one są przyczyną, dlaczego to twierdzenie odrzucamy i możliwości nawet zaprzeczamy!

Ale dotychczas uwzględniłem stronę duchową człowieka.

Czy pod względem fizycznym możliwość jest również wykluczona? czy pod względem ciała może człowiek pochodzić od zwierzęcia?

Aby tę kwestyę rozstrzygnąć — powinniśmy poznać, w jaki sposób powstaje w człowieku strona duchowa t. j. w jaki sposób zjawia się w nim dusza? Skąd się bierze? Kto jest jej przyczyną sprawczą?

Są dwie hypotezy, które wyjaśniają powstanie duszy w człowieku. Jedna utrzymuje, że dusza dziecka pochodzi od jego rodziców drogą rodzenia (generacyanizm). Tertuljan jej był autorem i za nim poszło sporo OO. Kościoła, a nawet św. Augustyn, zmieniwszy tylko w pewnej mierze twierdzenie Tertuljana. Nawet w XIX wieku byli uczeni, którzy powtarzali tę hypotezę. Inna hypoteza preegzystencyi dusz—Platona, którą Orygenes, a w naszych czasach Kamil Flammarion szerzyli, według której Bóg razem ze stworzeniem świata stworzył zarazem niezliczone mnóstwo dusz, które czekają gdzieś w krainach wyższych, póki na rozkaz Boży nie spuszczą się w ciała im wyznaczone. Te jednak hypotezy nie wytrzymują krytyki, gdyż nie dają się pogodzić z naturą duchową i niezłożoną duszy ludzkiej i dzisiaj przez filozofów są opuszczone. Natomiast największem powodzeniem cieszy się hypoteza, która ma największe prawdopodobieństwo, że dusza powstaje przez akt stwórczy Boga (Kreacyanizm) t. znaczy, że kiedy zarodek ludzki dojdzie do pewnej określonej formy mocą praw fizyologicznych— wówczas Bóg aktem bezpośrednim stwarza duszę i weń wlewa. Nie rozbieram dłużej tej kwestyi, bo jest rzeczą obecnie zbyteczną. Ale przyjmując to ostatnie kreacyanizmu zdanie i na niem się opierając, zapytam tylko: a w jaki sposób pierwszy człowiek na ziemi został stworzony? Nie w inny, tylko ten sam; to znaczy, że strona jego duchowa, dusza przez Boga została bezpośrednio stworzona i wlana w ciało. Co też stwierdza opowiadanie biblijne „i tchnął weń Bóg duch żywota i stał się człowiek z duszą żyjący". A ciało? Czy możemy przypuścić, aby drogą ewolucyi pochodziło od zwierzęcia? Sądząc z rozwoju embryonu t. j. zarodka ludzkiego, które na mocy praw fizyologicznych rozwija się i żyje przez pewien czas życiem roślinnem a potem zmysłowem aż kiedy dusza wstąpi zjawia się życie duchowe — sądząc powiadam z tego, możemy prawdopodobnie przypuścić, że ciało pierwszego człowieka przechodziło takież same fazy, takież same przemiany natury zmysłowej, zwierzęcej, i kiedy po długich latach swego rozwoju doszło do pewnej określonej formy, Bóg aktem stwórczym wlał weń duszę i powstał pierwszy człowiek.

W ten sposób rozwiązuje się kwestya możliwości powstania ciała pierwszego człowieka ze zwierzęcia.

Czy to rozwiązanie sprzeciwia się nauce katolickiej? „Ścisła prawowierność, powiedział na katolickim kongresie w Paryżu (1891 r.) Mgr. d'Hulst, nie nakłada innych granic hypotezom ewolucyjnym, prócz dogmatu bezpo-

średniego stworzenia każdej duszy ludzkiej przez Boga..." Kościół katolicki stawia twierdzenie, „że świat i wszystko, co się w nim zawiera przez Boga z niczego zostało uczynione" (Conc. Vat. sess. III cap. I can. 5 de Fide). Po za tem Kościół stoi zupełnie na uboczu. Jak zapatrywali się i zapatrują na tę sprawę uczeni katoliccy?

Już w roku 1870 a więc na rok przedtem, kiedy Darwin wydał swoje dzieło „o pochodzeniu człowieka", uczony biolog angielski Jerzy Mivart — katolik gorliwy, w dziele „O powstaniu gatunków" nauczał, że człowiek pod względem fizycznym może pochodzić od zwierzęcia—duszę tylko nieśmiertelną bezpośrednio od Boga otrzymał. Bez tej duszy zwierzę pozostałoby na zawsze zwierzęciem, przez otrzymanie zaś duszy zwierzę stało się człowiekiem.

Łatwo się domyśleć, jaki hałas powstał w prasie katolickiej na autora. Wielu zdanie to uważało za herezyę—autora za heretyka. Nie omieszkano przeto oskarżyć książki (i autora) do Rzymu, aby ją umieścić w liczbie ksiąg Indeksu, jako nauczającą herezyi. Ale jakie zdumienie ogarnęło wszystkich, kiedy zamiast klątew i cenzur Papież Pius IX mianował J. Mivarta doktorem filozofii i polecił kardynałowi Manningowi oddać mu biret doktorski! Nastała cisza. Wielu jednak nie chciało pogodzić się z tem zdaniem i do dziś dnia nie chcą przyjąć, aby pierwszy człowiek miał powstać ze zwierzęcia.

Co prawda zachowanie się Papieża Piusa IX nie było potwierdzeniem teoryi J. Mivarta, jednak było zaznaczeniem, że doktryna jego nie zawiera w sobie nic takiego, coby było sprzecznem z wiarą Kościoła katolickiego, coby było herezyą. To było pobudką, że wielu innych (chociaż ich liczba jeszcze dziś niewielka) zabrało się do pracy sumiennej, aby lepiej, spokojnie zbądać tę kwestyę i określić jej stosunek do nauki Kościoła i nauki wielkich teologów św. Augustyna, św. Tomasza przedewszystkiem.

I okazało się, że niemasz nic w orzeczeniach Kościoła, ani w nauce tych wielkich doktorów Kościoła, coby się sprzeciwiało twierdzeniu J. Mivarta. Przeciwnie w dziełach tych myślicieli odnaleziono pewne ustępy, w których przypuszczają możliwość powstania ciała pierwszego człowieka od zwierzęcia (Zahm: L'évolution et le dogme t. II str. 231—237). Przypuszczenie to nie jest formalne, wyraźne, ale w każdym razie przebłysk tej idei można odnaleźć!

Złagodzenia twierdzenia J. Mivarta i pogodzenia jej z danemi biblijnemi podjął się potem kardynał Gonzalez w dziele „La Biblia y la Ciencia" (t. I r. XI). Zamiast twierdzenia J. Mivarta, że ciało pierwszego człowieka w całości pochodziło od zwierzęcia, w które Bóg wlał duszę rozumną, kard. Gonzalez twierdził, że ciało pierwszego człowieka w części tylko zawdzięczało powstanie swe rozwojowi ze zwierzęcia, *w części* zaś było produktem bezpośredniej działalności Bożej. Mianowicie ciało pierwszego człowieka drogą ewolucyi rozwinęło się do pewnego tylko stopnia. Ciało to jeszcze niedoskonałe i nie zdolne przyjąć duszy rozumnej, Bóg w specyalny sposób i nadzwyczajny doskonalił, aż pod wpływem tej działalności Bożej stało się zdolnem do przyjęcia rozumnej i nieśmiertelnej duszy, którą Bóg stworzył na obraz i podobieństwo swoje.

Czy to złagodzenie, zaproponowane przez kard. Gonzaleza ma dostateczne racye, aby je przyjąć? Przypuszczam i sądzę, że nie. Jeżeli nauka św. Augustyna, Tomasza przypuszcza rozwiązanie kwestyi w duchu J. Mivarta, jeżeli nauka z drugiej strony zmusza nas do uznania, że ewolucya grała wielką rolę w historyi powstania ciała ludzkiego, to nie widzę racyi, abyśmy mając do wyboru jedno z tych zdań, odstępowali od twierdzenia J. Mivarta. To nawet twierdzenie wydaje się bardziej logicznem i konsekwentnem. Jeżeli bowiem Bóg czynnikom naturalnym udzielił mocy ewolucyjnej, to nie ma racyi w połowie drogi czynniki te naturalne zatrzymywać, aby Bóg bezpośrednio dokonał ukończenia rozwoju fizycznego.

Takie złagodzone zdanie kard. Gonzaleza nie znalazło przyjęcia. Teorya Mivarta więcej jakoś odpowiadała wymaganiom nauki i ją więcej rozwijano i rozszerzano. Nawet kard. Gonzalez, choć proponował odmianę, jednak nie potępiał teoryi Mivarta „my nie mamy prawa, powiadał on, potępiać lub odrzucać hypotezy Mivarta, jako przeciwnej wierze chrześcijańskiej" (t. I str. 549).

Z biegiem czasu, gdy nauki i poszukiwania pod tym względem poszły naprzód i wielce za naszych dni się rozwinęły, coraz liczniejsi zjawiali się zwolennicy teoryi Mivarta. Do takich zaliczam Dominikanina Leroy'a (L'evolution restreinte aux espéces organiques), Jezuitę Mir'a (La création), Jezuitę P. Dierckx'a (L'homme-singe et les précurseurs d'Adam en face de la science et de la theologie), Mgr'a D'Hulst'a rektora Instytutu katolickiego, Zahma (Evol. et le dogme) a za naszych dni Jezuitę O. Wasman'a, Göttsberger'a (Adam und Eva) etc. Nie wymieniam wszystkich. Ta jednak liczba mężów uczonych i teologów zarazem—jest dla nas dowodem, że w hypotezie tej niema nic przeciwnego katolicyzmowi i kwestya możliwości pochodzenia człowieka pierwszego pod względem fizycznym od zwierząt byłaby przez to rozwiązana.

Kwestya to jednak tylko możliwości. Z punktu widzenia katolickiego więc możemy przyjąć, że pierwszy człowiek pod względem ciała pochodził od zwierzęcia i przez otrzymanie duchowej, rozumnej duszy stał się człowiekiem. Czy kiedy jednak będzie pod tym względem jaka pewność, chociaż względna? Wątpimy. Wprawdzie paleontologia, antropologia i biologia rozwijają się w dalszym ciągu i postępy ich olbrzymie, ale czy uda im się kiedyś w przyszłości napewno stwierdzić jako fakt pochodzenie człowieka od zwierzęcia, na to odpowiedzieć nie możemy. W każdym jednak razie, gdyby to się stało i nauka wykazałaby z dowodami w ręku, że człowiek pochodzi od zwierzęcia—twierdzenie to nie stałoby w sprzeczności z nauką katolicką!

Koniecznem byłoby wówczas tylko jedno: trzebaby było zrewidować tłomaczenie dotychczas w tradycyi podawane tekstów Pisma św., gdzie jest opowiadanie o stworzeniu ciała pierwszego człowieka z mułu ziemi i zastosować do wymagań teoryi ewolucyjnej. A na to Pismo św. pozwala!

Ks. Józef Archutowski.

WOLNA TRYBUNA.

W sprawie artykułu prof. M. Ździechowskiego p. t. „O Tołstoju“

W „Prądzie“ (rok 1910, № 11, 12 str. 363 — 367) p. M. Ździechowski umieścił wzmiankę „O Tołstoju“, w której wspomina, że światopogląd niedawno zmarłego pisarza rosyjskiego spoczywał na przekonaniu, że głos instynktu życia powinien przeważać nad wynikami negacyi rozumu. Zdaniem p. Ź. poprzednikiem Tołstoja w wyznawaniu powyższego przekonania był kardynał J. H. Newman. Autor wzmianki wzywa nas do podkreślania w życiu i nauce Tołstoja tego, co nas łączy z nim, a nie tego, co może nas dzielić od niego. Tołstoj, zdaniem p. Ź., był „największym geniuszem moralnym, jakiego świat widział. Nikt nigdy z taką potęgą oburzenia nie obnażał i nie piętnował grzechu i nędzy pokłóconego z Bogiem życia indywidualnego i społecznego“. (l. c. str. 367.)

Z kilkoma zdaniami p. Ździechowskiego nie podobna się zgodzić. Kardynał Newman rzeczywiście podkreślał pierwszorzędną doniosłość czystości sumienia jako warunku do poznania prawdy religijnej, ale on nie był ani twórcą, ani wyznawcą, ani, nawet, poprzednikiem tych kierunków filozoficznych, które w teoryi poznania oddają pierwszeństwo czynnikom moralnym i instynktowym nad świadomymi i umysłowymi. Chociaż H. Bremond jest niewątpliwie jednym z najlepszych znawców Newman'a, jednak i on mylnie sformułował pogląd wielkiego kardynała na znaczenie sumienia w psychologii poznania religijnego. Sam będąc woluntarystą (w pismach z przed 1907 r.), Bremond dopatrzył się tegoż w teoryi poznania Newman'a. Pomieszać warunek z przyczyną wytwórczą w tak zawiłem zagadnieniu było dosyć łatwą rzeczą tem bardziej, że Newman nie stworzył jasno sformułowanej systematycznej teoryi poznania. Różnica między Tołstojem a Newmanem jest nieporównanie większą, niż między Bremond'em a kardynałem.

Tytułowanie Tołstoja „największym geniuszem moralnym, jakiego świat widział“, jest niewątpliwą przesadą. Takie i tym podobne wyrażenia są zjawiskiem równie niemoralnem w dziedzinie drukowanego słowa, jak rozwiązłość obyczajów w dziedzinie postępków. Nałóg niewłaściwego używania hyperboli niszczy w czytających warstwach poczucie różnicy między zwrotami retorycznymi, a wyrazami przekonań. Szkody, wynikające stąd dla umysłowości społeczeństw, są nieobliczalne.

Niezrównana potęga, z jaką pisarz rosyjski obnażał i piętnował grzech i nędzę pokłóconego z Bogiem życia, mojem zdaniem, nie dowodzi moralnej wielkości Tołstoja. Ludzie, przodujący w obnażaniu i piętnowaniu złego, np. fratrycellowie, i inni, wiele razy spowodowali wiele złego w ludzkości, a nie zawsze sami byli bez zarzutu. Krytyka moralna w pewnej mierze jest rzeczą potrzebną, mimo to, do doskonalenia się ludzkość zdąża tylko dzięki działalności twórczej. Taką twórczą działalnością i zarazem wysokością moralną odznaczali się Benedykt, Bernard, Franciszek Assyzki, Ignacy Loyola, Wincenty à Paulo, Klemens Hofbauer i tysiące innych. Kościół

katolicki jest ogniskiem, w którem się skupiają bohaterowie ducha i cnoty. Kościół posiada siły i warunki, potrzebne do wydania i wychowania postaci, które w dziedzinie moralnej dosięgają szczytów doskonałości.

Tołstoj jest jasną postacią w dziejach kultury rosyjskiej. W czasach, kiedy zarówno szkoła jak i piśmiennictwo rosyjskie przywiązywało uwagę młodzieży do przedmiotów materyalnych i trzymało serca w dosyć poziomym egoizmie, Tołstoj był zapalonym, szczerym i wymownym głosicielem ideału. Dla nas Tołstoj nie może być drogowskazem. Gdybyśmy poszli za nim, zgrzeszylibyśmy przeciw obowiązkowi doskonalenia się. Nauka Chrystusowa w Kościele katolickim przyświeca nam czyściej i jaśniej, niż dzieła wieszcza z Jasnej Polany. Tołstoj nie rozumiał znaczenia Kościoła dla sprawy moralnego doskonalenia się ludzkości. Owszem, genialny pisarz rosyjski o Kościele wyrażał się, jak pospolity sekciarz.

P. Zdziechowski wzywa nas, żebyśmy podkreślali w Tołstoju to, co może nas z nim łączyć. Zapewne, dobro powinno być uczczone wszędzie, gdzie się znajduje; prawda również zasługuje na hołd bez względu na osobę, która ją głosi; bez względu na błędy tej osoby. Lecz komu więcej chodzi o samą prawdę i samo dobro, niż o osoby, ten powinien się zwracać tam, gdzie prawda i dobro znajdują się w obfitszej mierze i czystszej postaci. Ja wskazuję na Kościół i Chrystusa. Zanim my się przejmiemy prawdą, głoszoną przez Jezusa, zanim urzeczywistnimy dobro zalecone przez Mistrza z Nazaret, historya cywilizacyi sformułuje spokojny sąd o zasłudze Tołstoja na polu kultury.

Petersburg *Ks. Fr. Buczys.*

SPRAWOZDANIA I KRYTYKI.

IZA MOSZCZEŃSKA: Postęp na rozdrożu. Str. 101, cena 65 kop. Warszawa 1911.

Książka p. Moszczeńskiej składa się z czterech rozdziałów: Postępowcy i ich kłopoty. Drogowskazy postępu. Masy żydowskie w nowożytnem społeczeństwie. Asymilacya i jej odmiany.

We wstępie Moszczeńska wyjaśnia cel napisania książki. Ma ona służyć rozbiorowi poruszonej kwestyi i dla zoryentowania się jednostek „dobrej wiary". „Chcę ażeby ci, którzy potępiają, wiedzieli co potępiają, ci co bronią — czego bronią".

Podkreśla tu obowiązek działacza społecznego, który ma pracować „nie dla osobistej sławy i poklasku", ale walczyć o to co jest *słusznem* i *prawdziwem.* Nic nie powinno działacza powstrzymać od głoszenia prawdy lub wykonywania takiej pracy, która byłaby *niepopularną* w danem środowisku. Nigdy nie może łączyć się z opinią większości, albo wiązać się przez z góry powzięty program partyjny.

W pierwszej części autorka rozpatrując „postęp polski“, dochodzi do wniosku, że cała kwestya była zasadniczo fałszywie postawiona i dlatego zamiast pracować nad odrodzeniem społeczeństwa, rozpatrywano wszystkie objawy życia społecznego „z punktu widzenia żydowskiego z całkowitem przemilczeniem postulatów postępowych, demokratycznych i narodowych“ (str. 12). Zapomniano, że „postęp polski ma służyć polskiej sprawie i niczemu więcej“, gdyż „w braku zewnętrznego ustroju, któryby nasze istnienie gwarantował, siła żywotna naszego organizmu i jego odporność musi iść z wewnątrz, wyrażać się w *najpełniejszej samowiedzy narodowej*, w jak najczulszej wrażliwości na wszelkie niebezpieczeństwo, w spoistości i zwartości instynktu samozachowawczego... Można na różne sposoby je chcieć uszczęśliwić, ale nie chcieć jego szczęścia — nie wolno żadnemu polskiemu stronnictwu“ (str. 11).

Dalej charakteryzuje tak zwane „zjednoczenie postępowe“. Stworzyły go chwila i odczucie potrzeby pracy dla ogółu. Nigdy ono „nie doszło do pełnej samowiedzy swej racyi istnienia“, ani jego uzasadnienia. Zjednoczenie postępowe nie pracowało pozytywnie — „ganiło lub chwaliło to, co się stało bez niego“ (13). W walce ze stronnictwami doszło do absurdu — znało tylko prawdę partyjną, a zapomniało o tem, że *prawda jest zawsze prawdą bez względu na to, kto ją wygłosi* (14). Zjednoczenie postępowe nie spełniło swego zadania, gdyż nie umiało zoryentować się w warunkach i źle rozpoczęło swoją pracę. Moszczeńska, opierając się na zasadzie, że „życie składa się z faktów, a nie z formuł”, radzi stosować w pracy społecznej *metodę indukcyjną — nigdy dedukcyjną.* Wtedy tylko praca będzie celową i pożyteczną — oprze się na znajomości życia i warunków, inicyatywa i dyrektywa przejdzie do ludzi, którzy są przygotowani do pracy, którzy najgłębiej i najlepiej odczuwają potrzeby społeczeństwa: od takich możemy spodziewać się *czynu.*

Wreszcie w zakończeniu tej części wypowiada autorka taką uwagę: Wszystkie obozy w życiu i pracy są *konserwatywne*, „nie wyłączając socyalistów. W każdym przemaga rutyna, nałóg deptania po utartych ścieżkach, niechęć, ba, nawet nienawiść dla wszelkiej nowości, wszelkiej zmiany i reformy — a zabobonna cześć dla fetyszów partyjnych, uświęconych niegdyś przez miejscowych, lub częściej przez zagraniczne autorytety“ (20).

W części drugiej swej książki Moszczeńska nie rozpatruje kwestyi postępu teoretycznie, daje tylko pewne wytyczne, które powinny postępowcom wskazywać drogę w pracy ku rozwojowi społecznemu:

a) Trzeba brać pod uwagę, *co* kto mówi, a nie *kto* co mówi.

b) Przesunąć punkt ciężkości pytania: co jest postępowe? na kwestyę co jest słuszne.

c) Kto chce postępu, musi chcieć krytyki.

d) Rola postępowców jest nietylko myśleć, badać lecz i działać, gdyż od pracy zależy egzystencya narodu i rozkwit jego dobrobytu, oświaty, nauki, sztuki (22—24).

Od dawna wśród pewnych grup społeczeństwa naszego kołacze się idea: polacy powinni pracować dla kosmopolityzmu, gdyż patryotyzm jest szkodliwy dla ludzkości. Autorka wykazuje bezsensowność takiej opinii i

dowodzi, że praca dla narodu jest zawsze pracą dla ludzkości. „Braterstwo narodów“ nie jest i nie może być negacyą narodowości, że „trzeba istnieć jako naród, by we wszechludzkiej rodzinie stać się żywym członkiem...“(25).

„Instynktem samozachowawczym narodu jest jego patryotyzm. Wszystko, co osłabia instynkt samozachowawczy organizmu — jest zamachem na jego istnienie. Braterstwo ludów, miłość ludzkości mogą być uważane tylko jako rozszerzenie sfery uczuć patryotycznych, nie jako ich zaprzeczenie.

„Polak, który jest szczerym postępowcem, musi być i szczerym patryotą i naodwrót — im większym jest patryotą, tem więcej winien być postępowcem — “(28), bo jak można w Polsce, która ma tyle potrzeb, nie być *postępowcem w czynie?*

Kosmopolityzm zwęził „obszar, objęty promieniami kultury polskiej“ i gdybyśmy zapomnieli o obowiązkach narodowych „czeka nas niechybna zagłada” (28).

Żąda Moszczeńska, ażeby „postępowcy byli sprawiedliwi dla przeszłości“. Nie mają prawa „przeszłością gardzić lub się jej wyrzekać“, gdyż Polska dotrzymywała kroku najprzedniejszym narodom (29). „Więcej jest u nas zasłużonych bojowników postępu w grobach, niż na powierzchni ziemi“ i studyując historyę więcej będziemy mieli pożytku, „niż słuchając współczesnych wodzów jednookich, zdobywających tak samo berło wielkości między ślepymi... i domagających się od ludzi mądrych i dzielnych, by je z obowiązku solidarności poparli i wykonali“ (30).

Żydzi, dla stworzenia sobie najwygodniejszego *modus vivendi*, popularyzowali przestarzałe już teorye socyologiczne, jak np. teorya ras, teorya twórczego czynnika dziejowego i na wszelki sposób starali się wyrobić opinie społeczeństwa, że co dzieje się z ich udziałem, jest postępowe, co bez nich — zacofane. Trzeba przypuścić, że wielu publicystów zdawało sobie jasno sprawę z tego doktrynerstwa postępowego, nie ośmielili się jednak dla „popularności“ wystąpić przeciwko tak szkodliwym tendencyom. — W dalszym ciągu p. Moszczeńska wypowiada zdanie, że walka z klerykalizmem jest dla postępu nie tyle już nawet wynikiem zasady, ile nieuniknionej praktycznej konieczności. Ale dowodząc tego, pomieszała autorka religię, katolicyzm i klerykalizm. Najwidoczniej jednak kieruje swe ostrze przeciw katolicyzmowi. Zaznaczyć jednak trzeba, że katolicyzm pojęty przez p. Moszczeńską nie jest wcale podobny do rzeczywistego katolicyzmu, który przecież jest jednym z najsilniejszych motorów postępu. Stwierdza to historya i życie.

Trzeba tylko katolicyzm poznać u źródła, a nie z opinii ludzi, którym często on stoi na drodze do osiągnięcia celów egoistycznych; p. Moszczeńska pisząc o „klerykalizmie“ zapomniała na tę chwilę o tem, co obowiązuje zawsze i wszystkich — poznanie gruntowne rzeczy, o której się mówi lub pisze, w której zabiera się głos.

Uwagi o „Zjednoczeniu postępowem“ i kwestyi żydowskiej są trafne i cenne — bo te sprawy autorka zna bardzo dobrze. Katolicyzm jest jej obcy — krytyka jego jest więc nie słuszna, płytka, zdradzająca nieznajomość rzeczy.

Z nadużyć, że złego stosowania zasad nie można kuć zarzutów przeciw samej zasadzie. Twierdzenie: katolicyzm jest wrogiem postępu, równa się powiedzeniu: pogaństwo lub judaizm dał nam kulturę europejską (!!!).

Rozdział trzeci książki traktuje o „punkcie stycznym pomiędzy sprawą postępu i sprawą żydowską“. Rozpatrzona jest historya żydów w Polsce i „bardzo humanitarny, postępowy“ stosunek społeczeństwa polskiego do żydów, pomimo tego, że są oni czynnikiem, z wielu względów nie sprzyjającym rozwojowi narodu.

Zasadnicza równość wobec prawa, dowodzi autorka, może być dana tylko w krajach o wysokiej kulturze i silnie zorganizowanych, w przeciwnym razie będą żydzi rakiem organizmu. Stąd prosty wniosek: uprawnienie żydów w samorządach miejskich, równałoby się świadomemu oddaniu samorządu w ręce żydowskie — wyniki nietrudne do przewidzenia. Zasadnicza równość wobec prawa umożliwiłaby tylko rozwój „niekulturalnych odrębności, poczytywanych u nas za narodowe cechy żydowskie, a posiadających istotnie pewne znaczenie dla kultywowania ich separatyzmu“ (49).

Ale cóż?! Nasi „postępowcy“ nie chcą o tem wiedzieć i, nawet akcyę, powziętą w obronie egzystencyi narodowej lub tępienia niemoralnych spekulacyi np. paserstwo, handel żywym towarem i t. d. nazywają wstecznictwem, obskurantyzmem nietolerancją. Dla wykazania ich niesłuszności autorka przytacza Finlandyę, kraj bardzo kulturalny i o ustroju głęboko demokratycznym, który jest jednak *wybitnie antysemickim*.

Zazwyczaj utrzymywano, że *specyficzność* typu żydowskiego, nie mająca nic wspólnego z kulturą europejską, wytworzyła się przez prześladowania i fanatyzm: p. Moszczeńska stwierdza, że już przed Chrystusem żydzi posiadali cechy specyficzne i że „sami są kowalami swego losu dzięki fanatyzmowi i inkluzywizmowi ich religii“.

„Los i położenie żydów nie zmieni się póty, póki nie zaczną oni przeobrażać swej natury, zamiast narzekać na naszą — i tę wedle swego uznania i swych potrzeb reformować” (62).

Czy żydzi są narodem? Autorka odpowiada — są skamieniałością: „wszędzie są cudzoziemcami, nigdzie tuziemcami... nigdy się nie wie, czy żyd, który został Polakiem lub Niemcem, przestał być żydem i w jakim stopniu“. — „Rozmawiając w kwestyi żydowskiej z żydami, nigdy nic nie można wiedzieć, czy są żydami, czy żydów wcale niema“ (67). — Żydzi powiadają: „Wy uważajcie nas za swoich, gdyż jesteśmy dziećmi jednej ziemi, a pochodzenie i wyznanie nie powinno dla was stanowić różnicy, bo taką jest *wasza* zasada. My zaś uważać was za swoich nie będziemy, bo ojczysta ziemia nie ma dla nas znaczenia, wspólność rasy i religii, a co najmniej tradycyi religijnych, jest dla nas wszystkiem i taką jest nasza zasada (68).

W części ostatniej książki przystępuje Moszczeńska do rozpatrzenia asymilacyi i jej odmian (74—101).

„Postępowcy“ łudzili się długo, że się im uda żydów zasymilować na gruncie bezwyznaniowym. Rozpoczęli walkę z katolicyzmem i wciągnęli do tej roboty żydów. Żydzi widzieli w tem swój interes, przyłączyli się, lecz pracowali tylko dla siebie, torowali drogi, „przez które wciska się semicki

lud wybrany z całą falą fanatyzmu i klerykalizmu, ze swą wyłącznością i zachłannością rasową“ (76).

Ciekawy szczegół notuje autorka: pisma postępowe, które wyrabiają żydom opinię, bardzo nie wiele mają prenumeratorów żydów, a ofiary, składane w redakcyach, bywają przeznaczane nie na cele ogólno społeczne, lecz instytucye filantropijne lub wyznaniowe żydowskie.

Żydzi wchodzili do instytucyi polskich, żeby dopilnować swoich własnych interesów, nie dla pracy ideowej. „Nieporozumienie było dla nas bolesne, woła p. Moszczeńska, poniżające dla nich, wychodzi bowiem na to, że gdy my widzieliśmy w nich bojowników idei, oni przyznawali sobie rolę jej bankierów” (81).

P. Moszczeńska, rozpatrując religię żydowską, ich żargon, kosmopolityzm, współżycie z Polakami, dochodzi do wniosku, że asymilacya jest niemożliwą. Niemożliwą jest rzeczą, żebyśmy mogli przeszczepić kulturę narodową dwum milionom odpornie trzymającej się ludności, choćbyśmy byli narodem samodzielnym i mogli zastosować „przymus prawny“ w celach kulturalnych.

W „Postępie na rozdrożu“ p. Moszczeńska wykazała, że „postęp polski“ wyszedł z fałszywych założeń i służy tylko sprawie żydowskiej. Pod koniec stawia dwa pytania w formie dylematu, żeby podkreślić „rozdroże postępu“:

„Co jest pierwszem przykazaniem demokratyzmu: czy zapewnić na ziemi polskiej możność istnienia tej ludności, która ją od wieków w pocie czoła uprawia, czy zrzec się tego dążenia na rzecz ludu, który dla nas jest obcym i chce obcym pozostać, nie zaniedbując nam tego przypomnieć przy każdej sposobności, prócz tych momentów, gdy się upomina o równe dla siebie prawa?

„Co jest naszym pierwszym obowiązkiem jako polaków i obywateli,—czy dopomódz w szczerych usiłowaniach do utrzymania swej narodowości tym rodakom naszym, których bieda z ojczystego kraju na obczyznę wygania, — czy wytężyć wszystkie siły dla narzucenia tej narodowości masom obcym, które się przed nią wielowiekowym wysiłkiem zakamieniałego fanatyzmu bronią?“ (96).

„Postęp polski musi służyć polskiej sprawie“: p. Moszczeńska każe nam zdjąć „łuskę z oka“, wzywa do baczenia nad całością organizmu narodowego i zachęca do pracy nad wyzwoleniem się z niewoli ekonomicznej i do stworzenia wielkiej siły. „Silni mają zawsze żydów po swojej stronie; słabi—przeciw sobie. A zatem — bądźmy silni!“ (101).

Książka napisana zajmująco.

Rzuca bardzo dużo światła na tak zwany „postęp polski“ i kwestyę żydowską.

Tu i owdzie czuje się pewne niedociągnięcia lub nawet niekonsekwencye autorki, pochodzące z jej negatywnego stanowiska do katolicyzmu, co przy czytaniu tej książki trzeba mieć na uwadze.

J. W. Orzeł.

KARIN MICHAELIS: „WIEK NIEBEZPIECZNY“ Warszawa 1911 r. Cena 1 rb. 20 kop.

Wymieniona w nagłówku książka „sensacyjna nowość,” „z błyskawiczną szybkością — jak zapewniają reklamowe opaski — obiegła podobno

całą Europę, a nawet, jak słyszeliśmy, w sześciu już wydaniach przyswojona została językowi polskiemu.

Przyjrzyjmy się więc bliżej treści i tendencyi tego dziełka, tak gwałtownie narzucanego naszemu społeczeństwu. W odczycie swym o „Wieku niebezpiecznym," wygłoszonym w kilku większych miastach Europy Zachodniej, p. Karin Michaelis wyznaje, że od długiego czasu prześladowała ją „myśl o niebezpiecznym wieku." Mianowicie zaobserwowała fakt, że „szczęście w małżeństwach trwało dopóty, dopóki żony nie doszły do niebezpiecznego wieku," „którego ściśle określić niepodobna, lecz który waha się pomiędzy czterdziestym, a pięćdziesiątym rokiem." „Histerya w tym wieku jest zwiastunem niemal stałym", snuje w dalszym ciągu swoje głębokie spostrzeżenia p. Michaelis i oświadcza, że chciała za pomocą swej książki „stwierdzić fakt, że kobieta w niebezpiecznym wieku cierpi, i to bez własnej winy" i „otworzyć oczy mężczyznom, aby nauczyli się miłosierdzia, względów i delikatności dla kobiety w tym okresie".

W jakiż sposób p. Michaelis stara się dowieść w omawianym dziełku spostrzeżeń, tak śmiało przez nią uogólnionych i rozciągniętych na wszystkie wdowy, na wszystkie kobiety. „Wiek niebezpieczny" pisany jest w formie pamiętnika.

Głównej bohaterce p. Elizie Lindtner, mającej czterdzieści parę wiosen za sobą, „pewnego poranku przyszła do głowy fantazya, że musi być sama, tylko dla siebie, tylko z sobą". Pomyślane—zrobione. I oto wkrótce widzimy p. E. Lindtner już rozwiedzioną z mężem i pędzącą dni swoje w oczekiwaniu starości na samotnej wyspie w białej willi nad morzem. Co prawda słuszne refleksye od czasu do czasu ją nawiedzają. Może to wszystko „było głupstwem! Dobrze obmyślonem nieodwołalnem głupstwem! Figlem, który mi wypłatały moje rozdraźnione nerwy!" rozmyśla p. Eliza, kiedy uczucie pustki zaczyna ją przygniatać. P. Michaelis jednak, aby nie doprowadzić swej bohaterki do zamiaru porzucenia dobrowolnej pustelni, każe jej snuć głębokie myśli, na takie np. tematy: „znajomość duszy" „pomiędzy mężczyzną i kobietą istnieje większa różnica, niż pomiędzy kamieniem i żywą rośliną," „a gdy kobieta rozmawia z mężczyzną, czy mówią prawdę do siebie? „Istnieje nieprzezwyciężona nieprzyjaźń pomiędzy płciami." „Mężczyźni mogą być uczciwi, zarówno względem siebie, jak względem innych. Kobiety nie posiadają honoru." „Kobieta nigdy nie obdarzy mężczyzny zaufaniem" i t. d. I całe szczęście jeszcze, że w końcu tego długiego filozofowania, p. Eliza Lindtner wskazuje sama na istotną bodaj jego przyczynę... „pochodzi ono prawdopodobnie stąd, że dzisiaj jadła na obiad flądrę, a to jest ciężka i niestrawna ryba"... Poza filozofowaniem p. Michaelis każe swej bohaterce prowadzić obszerną korespondencyę i dzięki temu dowiadujemy się powoli o istotniejszych przyczynach dziwnej eskapady p. Elizy Lindtner na samotną wyspę. Jeszcze na początku książki dowiadujemy się z jej listu, pisanego do jednej z przyjaciółek, że „ten przemiły chłopiec, Joergen Malthe, skierował ku mnie swe młodzieńcze marzenia." (Nawiasem mówiąc, ten przemiły młodzieniec miał lat... 35, co znowu chyba nie może być uważane za wiek tak bardzo młodzieńczy). Ale cóż się okazuje. Po długiej walce z sobą, p. Eliza pisze list do Joergena, wy-

znając, że kocha go oddawna, kochała przez dziesięć lat; tj. tak długo, jak długo on ją kochał. Kochała go, ale wiedziała, iż kochankiem jej zostać nie będzie chciał, wobec swych zapatrywań; wyjść zaś za niego za mąż, nawet wówczas, gdy otrzymała spadek po swoim pierwszym narzeczonym, bogatym wdowcu i została w ten sposób zabezpieczoną materyalnie, obawiała się wobec różnicy wieku i dlatego postanowiła uciec przed swą miłością. Ale ostatnia wreszcie przemogła i p. Lindtner chce widzieć się z Joergenem. Niestety przy spotkaniu z nim wyczytuje z jego oczu, że on już pokochał inną. Gdy taki zawód spotkał ją ze strony wymarzonego Joergena, decyduje się szukać na nowo porozumienia się z mężem. Ale i tu ją czeka gorzkie rozczarowanie. Jej „nudny Ryszard", chociaż był bardzo zmartwiony po rozstaniu się z nią, przyszedł widocznie do przekonania, że trzeba się z losem pogodzić, ożenił się z osiemnastoletnim podlotkiem.

Porzucona przez wszystkich p. Lindtner... stara się robić *„bonne mine au mauvais jeu,"* pisze drwiący list do swego byłego męża i... puszcza się w podróż naokoło świata.

Oto w krótkich słowach pobieżne streszczenie książki p. Michaelis.

Jest ono oczywiście zaprawione wieloma szczegółami, „których miejsce właściwe byłoby w kursie fizyologii i jeszcze częściej patologii", ale prawdopodobnie właśnie w tem zawiera się tajemnica sensacyjności i powodzenia utworu p. Michaelis.

Zadowoliliśmy się streszczeniem losów p. Elizy Lindtner, pomijając historye życia innych ofiar „wieku niebezpiecznego," sztucznie wtłoczone w fabułę książki, i odbierające jej wszelką wartość artystyczno-literacką. Wszystko się bowiem w dziełku p. Michaelis da sprowadzić do jednego. Wbrew tezie autorki, że „kobieta w niebezpiecznym wieku cierpi i to nie z własnej winy" — wszystkie jej bohaterki, z Elizą Lindtner na czele, to ofiary przedewszystkiem własnej zmysłowości.

Trudno i darmo, jeżeli ktoś w życiu zmysłowem widzi jedyny cel istnienia na ziemi, to oczywiście łatwo może się stać ofiarą histeryi, w tym wieku niebezpiecznym, a raczej „nieszczęsnym" jak słusznie z powodu tej książki zauważył p. Czesław Jankowski: kiedy wiek nakazuje kobiecie pogodzić się z myślą, że starość się zbliża. Napróżno więc p. Michaelis stara się w nas wmówić (w odczycie dopełniającym książkę), iż istota rzeczy pozostałaby ta sama, gdyby sięgnęła ona po bohaterki swoje do innej sfery lub wzięła inne typy. Realna rzeczywistość jakoś nie zdążyła się porozumieć z autorką, i przeczy najwyraźniej obowiązkowemu przeżywaniu wieku niebezpiecznego przez każdą kobietę. Bo też zauważmy choćby postać głównej bohaterki. P. Eliza Lindtner opowiada sama o sobie w liście do Joergena, iż w dzieciństwie jeszcze, dzięki kłopotom materyalnym rodziny „pieniądze stały się jej bóstwem." W szkole od koleżanek dowiedziała się że jest piękną, i że „piękna twarz jest więcej warta, niż worek złota." Stać się bogatą było dla niej nie tylko najwyższym, ale i jedynym celem! I ażeby osiągnąć ten cel jako podlotek jeszcze, zaręcza się z bogatym sąsiadem wdowcem. ale ten, gdy spostrzegł brak prawdziwego uczucia z jej strony, zerwał układy małżeńskie. Wysłał ją jednak na swój koszt do Paryża, gdzie spotkała młodego artystę, który zrobił na niej wrażenie „ale jednocześnie

zaczęła spotykać Ryszarda swego przyszłego męża. I oto dla pieniędzy i bogactwa zaparła się ona swej pierwszej miłości, wyszła zamąż za Ryszarda i dni, miesiące i lata odgrywała przed nim najwstrętniejszą komedyę, udając że go kocha namiętnie „podczas gdy był on dla niej tylko obojętny."

Po wyjściu za mąż przekształciła się ona w lekko światową damę, dla której punktem kulminacyjnym dnia była „godzina przyjęć," która, — jak całe zresztą jej otoczenie, — nie troszczyła się o jakieś sprawy głębszej natury; zagadnienia religijne i filozoficzne nudziły ją poprostu. Nie miała dzieci, a więc nie odczuwała jakiegoś większego przywiązania do domu, do nudnego męża, który conajwyżej był dla niej tylko mężczyzną. Oto jaki typ kobiety miał potwierdzać tezę autorki o wieku niebezpiecznym; doprawdy czy autorka sama nie widzi, że takie kobiety, w takich pozostające okolicznościach, w takich warunkach wychowane, na palcach policzyć się dadzą, i że wprost nieuczciwością nazwaćby można uogólnianie spostrzeżeń, poczynionych nad takim okazem, na wszystkie kobiety, gdyby wogóle można było książkę p. Michaelis traktować na seryo. Doprawdy już ta jedna charakterystyka dowodzi nam niezależnie, a nawet wbrew woli autorki, że wiek niebezpieczny niebezpiecznym zaprawdę być może dla takich tylko kobiet, jak Eliza Lindtner, dla których nie istnieje nic na świecie „prócz zabawy i używania" życia, póki się da, które potrafią być tylko kobietą samicą, a nie kobietą człowiekiem.

Znakomity pedagog szwajcarski, prof. Förster, twierdzi, iż w ruchu, dążącym do reformy dotychczasowych zapatrywań na życie seksualne, zabierają najczęściej głos kobiety, które ze swych subjektywnych i zmiennych stanów podmiotowych pragną uczynić najwyższe prawo i które pod wpływem wybujałego erotycznego marzycielstwa tracą—zda się—przytomność. Książka p. Michaelis powyższe zdanie Förstera potwierdza.

Emen.

NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE.

Książki nadesłane do redakcyi.

☐ Tad. Stan. Grabowski: *„Romantyzm polski u słowian"*. Lwów, Księgarnia H. Altenberga, 1910. Str. 44.

Praca niniejsza, stanowiąca szkic do studyum porównawczego, wyszła jako numer drugi w cyklu wydawnictw „Poprzez Słowiańszczyznę", który w szeregu broszur ma zawierać portrety i profile, rozprawy i sprawozdania literackie. W tej rozprawce autor, znany już z całego szeregu prac o słowiańszczyźnie, rozpatruje wpływ romantyzmu polskiego na słowian zachodnich, a mianowicie: Kaszubów, Łużyczan, Czechów, Słowaków, Słowieńców i Chorwatów. Stanowi ona część pierwszą większej całości. Rzecz pisana źródłowo a przystępnie, zasługuje na poznanie.

□ Zygmunt Różycki: *Figle młodego satyra.* Warszawa. 1911. Str. 131. Cena 40 kop. Nakład „Biblioteki Dzieł Wyborowych“.

Tom niniejszy zawiera osiemnaście nowel znanego poety. Nagłówek zbioru wzięty jest od tytułu zamieszczonych na końcu książki aforyzmów.

□ Edmund Kołodziejczyk: *Ludność polska na górnych Węgrzech.* Kraków. 1910. Str. 34.

Niezmiernie ciekawa rozprawa niniejsza młodego uczonego polskiego oparta na nader sumiennych badaniach i studyach, zasługuje na powszechną uwagę myślącego ogółu polskiego.

□ *Wskazówki do badań krajoznawczych.* Wilno. 1911. Nakład „Pobudki“. Str. 42

Broszurka niniejsza zawiera szereg bardzo pożytecznych kwestyonaryuszy, wskazujących na co należy zwracać uwagę podczas wycieczek po kraju. Zaopatrzeć się w nią radzimy każdemu wybierającemu się na wycieczki letnie.

□ Ks. Jan Gajkowski: *„Świętobliwe życie przewielebnej jej mści panny Zofiej z Granowa Sieniawskiej,* fundatorki i pierwszej xieniej klasztoru sendomirskiego reguły s. Benedykta z Kassynu reformacyej chełmińskiej. Według rękopisu z roku 1630-go wydał . . . . , profesor seminaryum Sandomierskiego. Kraków — Warszawa. Gebethner. 1911. Str. 194. Rozdziałów XXXI.

□ Jerzy Kurnatowski: *„Robotnicze związki zawodowe“.* Praktyka i teorya. Warszawa. Księgarnia G. Cetnerszwera. 1911. Str. 219.

□ Witold Szyszłło: *„Pod zwrotnikami“* Porto Rico. Część I str. 147, część II, str. 284. Warszawa. 1911. Nakład „Biblioteki Dzieł wyborowych“, Cena za obie części 80 kop.

□ *Sprawozdanie* z działalności Polskiego Związku Katolickich Uczniów Rękodzielniczych w Krakowie za rok 1910. Kraków 1911. Str. 85.

□ Henryk Nagiel: *Tajemnice Nalewek.* Tom II z 6-ciu ilustracyami. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1911. Str. 187.

□ Ks. M. Sz. *Mały katechizm* czyli Nauka Chrześcijańska, zatwierdzony przez Biskupów Anglii i Walii. Warszawa księgarnia Wł. Holewińskiego. 1910. Str. 30.

Jest to podręcznik, przeznaczony dla małych dzieci w szkołach elementarnych, ochronkach i klasach wstępnych szkół średnich. Wielka prostota i jasność wykładu łączy się tu z dokładnością nauki katechizmowej. Język czysty, styl łatwy, przekład jasny i przejrzysty ułatwia dziecku nauczenie się zasadniczych prawd wiary.

□ Stanisław Belza: *„Odgłosy Szkocyi“* Część III. Warszawa. 1911. Nakład „Ziarna“. Ttr. 173.

□ *Wykaz prasy polskiej.* Berlin. 1911. Nakład wydawnictwa „Hygiena”. Str. 96. Cena 50 kop.

Wykaz niniejszy jest bardzo pożytecznym informatorem, zawierającym wyliczenie—wraz z niektóremi dodatkowemi wiadomościami — pism polskich wszystkich dzielnic, nie wyłączając gazet wychodzących na emigracyi. Spis jest dosyć kompletny.

□ Ks. Dr. Mikołaj Biernacki: *„Teologia Pasterska“* — według ostatnich decyzyi Kongregacyi Rzymskich i postanowień papieskich. Warszawa—Poznań. 1911. Księgarnia św. Wojciecha — Gebethner i Wolff. Str. 374. Cena 3 rb.

□ Anatol France: „*Pamiętnik mego przyjaciela*“ przekład Zofii Wróblewskiej. Część I i II. Warszawa. 1911. Wydaw. „Biblioteki Dzieł Wyborowych“. Str. 217. Cena 80 kop.

□ Ks. M. Kuznowicz T. J.: „*Społeczna działalność Kółek Abstynenckich wśród młodzieży*“. Kraków. Druk W. L. Anczyca. Str. 24.

Broszurka powyższa zasługuje najzupełniej na jaknajwiększą poczytność. Autor—w myśl Foerstera — powstrzymywanie się od alkoholu opiera na podstawie wychowania samego siebie i panowania nad sobą, zalecając gorąco tworzenie kółek abstynenckich, jako środowisk, w których należycie może być hartowana wola młodzieży.

□ *Pamiętnik* za rok 1910-y „Towarzystwa hygieny praktycznej im. Bolesława Prusa“. Warszawa. 1911. Str. 14.

□ B. Bolesławita: „*Tułacze*“. Opowiadanie historyczne. Tom trzeci. Nakład „Biesiady Literackiej“. Warszawa. 1911. Str. 159.

□ Ks. prof. Kalinowski: „*Pragnienie powrotu*“. W cyklu wydawnictw „Wiedza i prawda“. Księgarnia M. Szczepkowskiego. Warszawa. 1911. Str. 150. Cena 1 rb.

Interesującą tę książkę omówimy obszerniej w jednym z najbliższych numerów.

□ J. Zagrzejewski: „*Istota elektryczności*“ Piotrków. 1910 r. Nakładem autora. Str. 66.

Na treść nader ozdobnie wydanej książki niniejszej, której pełny tytuł brzmi „Istota elektryczności, jako podstawa wiedzy przyrodniczej i ogólnego wykształcenia“, składają się następujące rozdziały: — Pojęcia pierwotne; Elektryczność powszechna; Stosunek elektryczności do ciał niebieskich; Elektryczność jest materyą i energią; Elektryczność normalna; Przyczyna przyciągania i odpychania; Przyczyna ciepła, zimna, światła i zjawisk pokrewnych. Prawo przyczynowości; Promienie elektryczne; Podzielność elektryczności; Powinowactwo, atomy, pramaterya; Darwinizm w nowem oświetleniu i zasadnicze unormowanie pojęcia ewolucyi; Stopniowy upadek naszej kultury.

„Istota elektryczności“ odbita została tylko w 150 egzemplarzach, z czego 50 przeznaczonych zostało do sprzedaży a 100 do bezpłatnego rozesłania różnym redakcyom i instytucyom.

PRZEGLĄD CZASOPISM.

Szymonie... ty śpisz?

Pod takim tytułem w № 59-ym „*Polaka—Katolika*“, wychodzącego w Warszawie znalazł się artykuł ks. J. Kłopotowskiego, krytycznie rozpatrującego dotychczasową działalność Związku Katolickiego, a głównie Komitetu Organizacyjnego tego Związku w Warszawie.

„Ustawa ta—t. j. Związku Katolickiego pisze ks. redaktor — obiecuje katolikom wszystko w dziedzinie religijnej, społeczno-kulturalnej i ekono-

micznej. *Tak jest obszerną.* Ale cóż z tego, kiedy czteroletnia działalność Związku katolickiego na podstawie otrzymanej ustawy przedstawia się *bardzo skromnie*—pomimo, że są gwałtowne potrzeby religijne, społeczne i ekonomiczne.

Najbardziej zaś rzeczą krzyczącą jest to, że dotychczas—a więc przez całe 4 lata—kieruje Związkiem nie Zarząd centralny ale Komitet *organizacyjny.* Któraż żywotna instytucya tyle się czasu organizuje? Już to samo odbiera nadzieję, że Związek katolicki zabierze się kiedykolwiek do *czynnej pracy* w celach, które mu ustawa wytyka.

Można się tłómaczyć trudnościami rok, dwa najwyżej, ale nigdy trzy *cztery lata,* bo te trudności staną się w takim razie chronicznemi i nigdy nie dojdziemy do Zarządu centralnego.

Następnie krzyczącą jest rzeczą, że Centralny Komitet organizacyjny nie urządza stale dorocznych zjazdów przedstawicieli od związków parafialnych i dyecezalnych. Ile byłoby stąd pożytku i ożywienia, a także podniety do pracy—okazał jeden jedyny zjazd taki, który był urządzony ku ogólnemu zadowoleniu.

Wszystkie instytucye mają zjazdy doroczne i im zawdzięczają łączność, która się zawiązuje między członkami i zarządami. Bez zjazdów takich nie sposób nawet zrozumieć łącznej, celowej pracy.

Przytem pracy i działalności Związku katolickiego ocenić nie możemy, bo nie mamy sprawozdań. A takie sprawozdania wydają co rok wszystkie instytucye społeczne...

...Prawda, piękne czyny niektórych Związków katolickich parafialnych, zwłaszcza w dyecezyi płockiej, bez zjazdu i sprawozdania same mówią o sobie. Ale proszę posłuchać, co one—te związki—mówią o braku dyrektywy, inicyatywy i egzekutywy ze strony Komitetu Centralnego organizacyjnego. I nie może być inaczej, bo on się nie chce, czy nie może uważać za Zarząd, i dlatego nadziei pokładanej nie ziszcza, a pozostawia życie Związków naturalnemu biegowi.

Dość zresztą wejść do lokalu Centralnego Komitetu Organizacyjnego w godzinach biurowych, aby się przekonać, że tam, czy stamtąd, nie idzie robota. Niema żadnego porównania naprzykład ze Stowarzyszeniem Robotników Chrześcijańskich. Tam lokal daleko obszerniejszy, jest zapełniony — bo tam bije życie czynów—choć zakres pracy ma przed sobą Związek daleko większy i, powiem, łatwiejszy.

Chcę być sprawiedliwym i dlatego wyrażam głębokie uznanie dla Centralnego Komitetu Organizacyjnego Związku Katolickiego za jego gorącą wiarę, żarliwą pobożność i miłość szczerą do spraw katolickich, ale odmawiam Mu natomiast daru kierownictwa, który zwłaszcza w naszem położeniu jest nieodzownym, niezbędnym przymiotem".

W końcu wreszcie ks. J. Kłopotowski pod adresem Komitetu Organizacyjnego Związku Katolickiego zanosi dwie prośby:

1) o *sprawozdania roczne* z ostatnich lat.

i 2) o zwołanie zjazdu pełnomocników związków parafialnych i dyecezyalnych.

Najwidoczniej tedy i w sferach, zbliżonych do Centralnego Komitetu Organizacyjnego budzi się krytycyzm.

O zrzeszenie polskiej młodzieży uniwersyteckiej w Stanach Zjednoczonych.

„*Dziennik Polski*", wychodzący w Philadelphii, i „*Polak w Ameryce*" poruszyły w kilku numerach nadzwyczaj ważną sprawę: organizacyi i wychowania narodowego młodzieży polskiej w Ameryce. Młodzież polsko-amerykańska, urodzona i wychowana w Ameryce, zatraca szybko poczucie narodowe, wynaradawia się na korzyść amerykanizmu. Dotychczasowa działalność wśród tej młodzieży była bezskuteczna z powodu bezplanowości i braku zrozumienia ducha tu zrodzonej i wychowanej młodzieży przez działaczów, wychowanych na gruncie europejskim.

Pierwszy projekt działalności wśród młodzieży polsko - amerykańskiej podało „kilku młodych" studentów seminaryum św. Franciszka Sal. w St. Francis, Wis. Celem zamierzonej przez „kilku młodych" organizacyi miało być: wzajemne kształcenie się w zakresie literatury i historyi polskiej; stworzenie piśmiennictwa polsko-amerykańskiego i ewentualne wydawanie własnych utworów literackich i naukowych. W skład tej organizacyi miały wejść wszystkie kółka literackie, naukowe i etyczne, istniejące w seminaryach i uniwersytetach amerykańskich. Właściwie „kilku młodych" chciało zorganizować młodą inteligencyę w jednolite stowarzyszenie, aby tym sposobem wyrabiać powoli i stale materyał na przyszłych działaczy, którzyby mogli pracować w kierunku unarodowienia młodzieży polsko-amerykańskiej, pozostającej poza instytucyami naukowemi.

W grudniu ubiegłego roku p. B. S. K. zamieścił w „*Polaku w Ameryce*" artykuł „Pod adresem studentów polaków", poruszający tę samą myśl zrzeszenia młodzieży akademickiej. Autor nie tyle pragnie działalności nad unarodowieniem polskiej młodzieży studenckiej, ile oddziaływania na studentów-Amerykanów za pomocą organizacyi studentów-Polaków.

Ostatnio zabrał w tej sprawie głos jeden z „kilku młodych" na szpaltach „*Dziennika Polskiego*". W artykule p. t. „Iście piekąca sprawa", wykazawszy, że projekt p. B. S. K. sam przez się jest niewystarczający, w połączeniu jednak z projektem „kilku młodych" stworzyłby organizacyę o celach i zadaniach, jakich od organizacyi akademickich pol. ameryk. można się spodziewać, przechodząc do sprawy praktycznego przeprowadzenia, pisze:

> „Pomyślmy tylko: zabierzemy się, dajmy na to, do zawiązania stowarzyszenia wszystkich kółek literackich i naukowych, jakie obecnie istnieją po uniwersytetach amerykańskich. Praca taka przyniosłaby społeczeństwu nieobliczone korzyści narodowe, gdybyśmy stworzyć mogli organizację potężną, rozprzestrzeniającą się na całe Stany Zjednoczone. Ale co będziemy organizowali w jednolity związek? Czy tych kilka małych kółek, jakie pozawiązywano dotychczas we wszechnicach tutejszych? Czy cel taki byłby wart naszych wysiłków?
>
> Dzisiaj, o ile wiemy, jest w Stanach Zjednoczonych coś dziewięć czy dziesięć polskich kółek uniwersyteckich, z których ani jedno nie może się

wykazać znaczniejszą liczbą członków. Gdybyśmy je zszeregowali w jedną organizacyę, mielibyśmy razem członków mniej więcej 150. To jest naga prawda. Nieraz słyszy się zdanie, że studentów polskich w uniwersytetach amerykańskich jest około 300. Wobec faktu, że nie mamy w Ameryce polskiej komisyi statystycznej, któraby umiejętnie sprawdziła stan naszej emigracyi pod tym względem, trudno oczywiście zaprzeczyć powyższemu twierdzeniu. Naszem zdaniem, lepiej być w tym wypadku konserwatywniejszym i przyjąć, że mamy akademików polskich w Stanach Zjednoczonych około 150.

Obawiamy się, że w organizacyi o tak szczupłych rozmiarach zapał do pracy w kierunku unarodowienia ogółu młodzieży polsko-amerykańskiej byłby zbyt krótkotrwały, ażeby warto było porywać się do dzieła już obecnie.

Przedewszystkiem pomnóżmy wszelkimi sposobami szeregi młodzieży uniwersyteckiej, a potem dopiero zabierajmy się do zgrupowania w jedno odosobnionych kółek uniwersyteckich. Starajmy się systematycznie pracować nad tem, aby jak najwięcej młodzieńców i panien wysyłano do uniwersytetów amerykańskich. Bez tworzywa nie da się zbudować organizacyi.''

Dalej „jeden z młodych" twierdzi, że celem polonii ameryk. powinno być stworzenie kilku potężnych centrów naukowych pod bokiem tych uniwersytetów, które stanowią najpodatniejszy grunt pod takie centra. Autor słusznie zaznacza, że powinno się

„wpływać na młodzież polską, zamierzającą odbyć wyższe studya, aby udawała się na kursa do tych wszechnic, gdzie już zgrupowała się pewna liczba studentów polaków".

Więc nasamprzód należy wybrać z pośród uniwersytetów amerykańskich ten, który będzie najodpowiedniejszy dla stworzenia polsko-amerykańskiego centrum naukowego, do niego skierowywać całą młodzież polską. Stworzywszy takie jedno centrum, należałoby później starać się o zorganizowanie drugiego i t. d. Zdaniem autora:

„W Ann Arbor istnieje uniwersytet stanowy, który pod każdym niemal względem odpowiadałby naszym wymaganiom. Jako centrum dla młodzieży polskiej, pragnącej oddać się wyższym studyom specyalnym, polecilibyśmy go z następujących przyczyn: I. należy do najsławniejszych i najlepszych uniwersytetów w świecie; II. panuje w nim rozległy demokratyzm uczuć i urządzeń, czem się chlubią nietylko studenci, ale i władze; III. geograficznie byłby dla Polaków najodpowiedniejszy, gdyż leży w środku pomiędzy największemi koloniami polskiemi w Ameryce, mianowicie: Milwaukee, Chicago, Grand Rapids, Detroit i Buffalo; IV. istnieje już w Ann Arbor kółko polskie „Polonia", które właśnie usiłuje stworzyć przy uniwersytecie annarborskim centrum dla studentów polskich; V. w niedalekiej może przyszłości władze uniwersyteckie wyposażą katedrę literatur słowiańskich i oddadzą ją Polakowi".

Kółko „Polonia“ zostało założone w Ann Arbor w 1909 r. z inicyatywy prof. Zwierzchowskiego. Zadaniem „Polonii“ jest:

a) Studyowanie języka polskiego oraz stosunków polskich w Ojczyźnie i na wychodźtwie;

b) Stworzenie przy uniwersytecie michigańskim centrum dla młodzieży polskiej, oddającej się wyższym studyom;

c) Założenie kasy Br. Pomocy celem wspierania ubogich studentów polskich.

W chwili założenia kółko liczyło 13 członków — obecnie liczy piętnastu, chociaż zeszłego roku szkolnego ukończyło studya czterech członków, a jeden nie wrócił z innych przyczyn.

W skład grona profesorskiego uniwer. Michigańskiego wchodzi obecnie tylko jeden polak, pr. Zwierzchowski, który ma katedrę inżynieryi hydraulicznej. Ale z chwilą utworzenia nowej katedry będzie już dwóch.

kt.

Wszystko jest możliwe!...

Do jakiego absurdu dochodzą niektórzy katolicy u nas, wykazaliśmy w № 11 — 12 „Prądu” z r. ub., przytaczając wzajemne opinie pism katolickich o sobie. Obecnie mamy do zanotowania fakt, nie pozbawiony, dla ludzi dobrze znających środowisko, nawet elementu komicznego.

W paryskim dwutygodniku „*La Critique du Libéralisme*” (Nr. 55 z d. 15 stycznia b. r.) ukazało się tłomaczenie „Zarysu nowego programu” p. Szczepana Jeleńskiego p. t. „*Un programme de modernisme polonais*“, poprzedzone wstępem Polaka, korespondenta „*La Critique*“, który według słów redaktora „zajmuje zaszczytne miejsce między obrońcami doktryny katolickiej“. We wstępie tym czytamy:

> ......do tłomaczenia „Zarysu“ dołączamy tłomaczenie prospektu „*Roli*“; prospekt ten jest również bardzo wymowny, ze względu na nazwiska pisarzy, dobrze znanych ze swego modernizmu. Są to kropki nad *i* całego programu.

O kilka wierszy niżej znajdujemy cały szereg nazwisk „pisarzy, znanych dobrze ze swego modernizmu”: ks. biskup Niedziałkowski, prof. dr. Czerkawski, ks. dr. Radziszewski, Teodor Jeske-Choiński, dr. Kaz. Lubecki, dr. Kopyciński, pr. Paciorkiewicz, Tadeusz Fopp, Janusz Jammont, Aleksander Jarkowski, Paweł Krzyżny, Henryk Tyszka, p. Starzyńska, A. L. Szymański, Antoni Werytus.

Nie przytaczamy reszty wypisanych w tej swego rodzaju „czarnej liście“ nazwisk, gdyż te, które wymieniliśmy, dostatecznie już mówią za siebie. Poczekajmy tylko, a być może, że i „*Myśl Katolicka*” wraz ze swymi współpracownikami zostanie ogłoszona za organ modernistyczny.

Z MIESIĄCA.

Trzy rocznice.

Po setnej rocznicy urodzin Mickiewicza, Słowackiego i Chopina, po pięćsetleciu Grünwaldu — rok przyszły przynosi nam aż trzy uroczystości: trzechsetna rocznica śmierci Skargi (27 września) setna rocznica urodzin Krasińskiego (19 lutego) i wreszcie również setna rocznica urodzin Kraszewskiego (23 czerwca).

Warszawska „Rola", która pierwsza z pism warszawskich podjęła myśl upamiętnienia roku Skargi, powiada z powodu dwóch pierwszych rocznic, że z „Psalmów" Zygmunta Krasińskiego przenika do nas głos natchnionego Skargi: „wieszcz archanielski" głosił to samo narodowi swemu, o czem kazał przed półtrzecia wiekiem ten, którego zwano „sumieniem narodu" lub archaniołem, zwiastującym Sąd Boży, nawołującym do pokuty.

Dla uczczenia, Skargi „Rola" proponuje:

„1-o. Ufundowanie tablicy pamiątkowej w archikatedrze św. Jana, gdzie tyle razy kazał Skarga. Podobne tablice mogłyby zostać wmurowane i w innych świątyniach, które słyszały głos „Złotoustego", jak np. w Pułtusku, Płocku, Lublinie, Sandomierzu, Wiślicy, Wilnie i t. d.

„2-o. Utworzenie jakiejś instytucyi społeczno-ekonomicznej, pokrewnej z fundowanemi przez Skargę tak licznie po wielu miastach „Bankami pobożnymi" (*Mons pietatis*).

„3-o. Zorganizowanie szeregu odczytów popularnych, uwydatniających postać i działalność wielkiego męża.

„4-o. Wydanie monografii, a przedewszystkiem broszur, streszczających przystępnie myśli i wskazania natchnionego mówcy i pisarza.

„5-o. Nabycie od obecnego właściciela obrazu Matejki: „Kazanie Skargi", na rzecz przyszłego muzeum miejskiego, a przynajmniej wystaranie się, aby ów obraz w ciągu całego „Roku Skargi", mógł być wystawiony na widok publiczny, łącznie z rozpowszechnieniem reprodukcyi.

„Oczywiście, że powyższe punkty nie wyczerpują wielu innych pomysłów i sposobów obchodu. Rzecz to rozwagi i oceny. Czasu jest dosyć, ale nie zawiele."

Punkt czwarty powyższego projektu częściowo już jest urzeczywistniony przez konkurs „Przeglądu Powszechnego", punkty inne również nie powinny utonąć w sferze projektów lecz również być wykonane, gdyż na to najzupełniej zasługują. Powinny być też wykonane i z tego jeszcze względu, że w czasach dzisiejszych skarlenia charakterów, przypomnienie wszelkiemi drogami i sposobami jaknajszerszym sferom społeczeństwa tej spiżowej postaci to rzecz ogromnej doniosłości.

Nic piękniejszego — powiada Tarnowski — nad to żywe uczucie obowiązku względem Boga i wiary, i obowiązku względem ludzi i ojczyzny, jakiego daje przykłady całe życie Skargi.

Ideał kapłana i obywatela — jak go nazwał Mickiewicz — jest jednym z tych rzadkich, którzy zrobili wszystko, żeby ojczyznę od upadku powstrzymać: upominał najlepiej, prosił najgoręcej, gromił najostrzej. Woronicz mówi: „Jeżeli chcesz być politykiem, czytaj Skargę, filozofem — czytaj Skargę, mówcą — czytaj Skargę i t. d., bo Skarga jest wszystkiem dla wszystkich.” Można mieć różne poglądy na to, czy jest wszystkiem dla wszystkich, ale to pewne, że Skarga zawsze będzie wzorem, jak wiernie służyć Bogu i ojczyźnie.

Dziwną wobec tego jest rzeczą, iż tak wyrastająca ponad innych postać niema do tej pory poważnej monografii: toż inni mniej wybitni i późniejsi o wiele już posiedli źródłowe opracowania swej postaci i całokształtu działalności, że wspomnimy tylko Pola, Zaleskiego, Klaczkę czy Mochnackiego, a on prorok narodowy, dotychczas jest pominięty, bo przecież próby monografii z przed pół wieku nie można uważać za wystarczające, To też w trzechsetną rocznicę Skargi przedewszystkiem winna się ukazać wyczerpująca jego monografia.

Obok tego kapłana-obywatela słusznie też w roku przyszłym należy się złożenia hołdu od potomnych temu, który zadanie poety rozumiał jako kapłaństwo, którego poezya wyrosła z cierpień i pragnień, nadziei i zawodów społeczeństwa. Czciliśmy Mickiewicza, czciliśmy Słowackiego, również słusznie i temu ostatniemu, z wielkiej trójcy wieszczów, choć najmniej dotąd przez ogół rozumianemu, hołd się należy.

Innego rodzaju są zasługi Kraszewskiego, w naszem piśmiennictwie — ale tem nie mniej są tak poważne, iż jego pamięć w stuletnią rocznicę winna być uczczona, Nie kreślimy tu projektów, w jaki sposób obchody Krasińskiego i Kraszewskiego mają być urządzone, przypominamy jedynie te rocznice i podkreślamy z naciskiem, iż nie powinny przejść niepostrzeżenie.

als.

Objawy zwrotu.

Reakcya przeciw zmateryalizowaniu życia ujawnia się wszędzie z coraz większą siłą. Ludzie już mają dosyć ideału „pełnej miski;” duch nie dał się skuć okowami przyziemności, zaprotestował gorąco i protest ów coraz głośniej brzmi nad światem.

Zwrot ku ideałom duchowym, skierowanie myśli ku zagadnieniom religijnym — to znamienny objaw czasów ostatnich.

Jednym z przejawów tego zwrotu, uwydatniającego się coraz wyraźniej i u nas, jest niewątpliwie odczyt znanego poety Tadeusza Micińskiego, jaki się odbył w pierwszym tygodniu kwietnia w Warszawie na temat: „Współczesne zagadnienia religijne.” Choć prelegent tu i owdzie wykazał pewien brak oryentacyi w poruszanej kwestyi, choć mu jeszcze imponuje modernizm religijny swymi postulatami, choć istotę religii nieco dziwnie przedstawia, pomimo tych wszystkich usterek odczyt ten podnosimy, bo jego autor dał w nim dowód dobrej woli i odwagi cywilnej, a błądząc nie przestaje poszukiwać drogi właściwej, na którą miejmy nadzieję z czasem wejdzie.

W odczycie swym Miciński zastanawiał się nad następującymi punktami: Fundament gmachu Wiary. Krytyka Biblii. Moderniści. Religia nie jest wymysłem księży, a przeciwnie jest sprawą całego narodu. Dowody historyczne istnienia Jezusa. Teorya Dupis'a, której użył p. Niemojewski do swych mitów astralnych. Drewsa „mity" i krytyka o nim oraz o Dupuisie uczonych francuskich. Konieczność rozszerzenia horyzontów i metod badań religijnych. Istotą religii — znalezienie swego wyższego przeznaczenia.

Nieraz uwagi i poglądy prelegenta, na tle tych punktów rozwinięte, były błędne lub niejasne ale często też wielce trafne i słuszne, jak choćby te niżej przytoczone:

„Łatwiej jest biedz za błędnymi ognikami, niż rozumieć wewnętrzną światłość; łatwiej zejść na platformę, gdzie żyje się, aby jeść — niż na tę pustynię, gdzie nie samym chlebem żyje człowiek, ale i słowem wewnętrznie objawionem."

...„My, Polacy, uważaliśmy się jeszcze niedawno za naród mesyaniczny, za powołanych do rozniecenia blasku Nieśmiertelnego nad kainowymi instynktami Europy. Nie słychać już dzisiaj tych głosów. Mówią, żeśmy zmądrzeli. Nie, nie jest mądrzejszy podstarzały bankrut życiowy, niż entuzyasta. Nie był mądrzejszy senator Nowosilcow, niż Mickiewicz z Ody do Młodości, Radca tajny Bajkow nie górował nad Janem Witkiewiczem, który jako deńszczyk na Syberyi szorując rondle, pracował nad geologią i zdumiał swą wiedzą Humboldta."

Odczyt Micińskiego był tylko fragmentem z większej całości p. t. „Walka o Chrystusa", która ma wyjść niebawem w wydaniu książkowem, a wówczas treści zapatrywań i wniosków autora poświęcimy więcej miejsca.

Dziś nam chodziło o podkreślenie tego zjawiska, że i u nas wśród sfer tak zwanych lewicowych, które zdawały się skłaniać ku ateizmowi, uśpiona myśl religijna budzi się z długotrwałego letargu.

Temu ocknieniu towarzyszą często nieprzyjemne zgrzyty i przykre nieporozumienia, ale fakt pozostaje faktem.

Czyż mamy się jednak ograniczyć do stwierdzenia samego faktu? Byłoby to lepsze od stanowiska tych, którzy uważają za właściwe pozwalać sobie na złośliwości z powodu chybionych prób, pragnących powrotu ku religii, a błąkających się po manowcach, — tak byłoby to lepsze lecz stanowczo niewystarczające: tu nie przystoi obojętne notowanie objawu, tu trzeba miłościwego współdziałania, tu trzeba wyrozumiałej prawdy, aby tych szukających nie zniechęcić lecz znalezienie drogi do Wieczystej Prawdy ułatwić.

als.

Młodzież a kooperacya.

Ruch spółdzielczy coraz szersze kręgi zatacza u nas. Ograniczając się początkowo do kooperatywy pieniężnej i spożywczej, obecnie coraz bardziej rozwija się w kierunku tworzenia zrzeszeń wytwórczych i tym sposobem obejmuje coraz nowe dziedziny życia zbiorowego.

Kooperacya dziś już staje się poważnym czynnikiem społecznym, a niewątpliwie jeszcze większą rolę odgrywać będzie w przyszłości. Z tych względów młodzież winna się dokładnie zapoznać ze współdzielczością, jej historyą i zasadami, gdyż te wiadomości równie się w życiu stają potrzebne, jak znajomość arytmetyki.

O stosunku młodzieży do kooperacyi zasługujący na uwagę pogląd wypowiedział prof. E. Milewski na jednym z wykładów „kursów spółdzielczych” organizowanych w kwietniu r. b. przez lwowski „Związek Stowarzyszeń Zarobkowych”:

...„W twórczej pracy gospodarczej odgrywała u nas dotąd młodzież rolę nieznaczną. Udziałem jej była przeważnie strona wykonawcza. Inicyatywa, organizacya, kierownictwo należało dotąd niemal do starszej generacyi. Gospodarcza pełnoletność obywatelska następuje u nas, niestety, bardzo późno.

Inaczej—w innych społeczeństwach.

Każdy, kto zna Czechy, wie, że ruch gospodarczy posiada tam kierowników znacznie młodszych, niż u nas. To samo w Belgii, to samo we Włoszech nowoczesnych, to samo w Finlandyi.

Cała kooperacya belgijska—to dzieło ludzi młodych wiekiem, duchem i odwagą czynu. Całe ekonomiczne odrodzenie Włoch, to również dzieło młodego pokolenia.

Mnóstwo przyczyn złożyło się na to, że młodzież nasza stała dotąd zdala od gospodarczego budowania kultury kraju.

Przedewszystkiem warunki polityczne, które wytworzyły sytuacyę, że naród nasz zwrócił się ku tym formom twórczości, które mu jedynie wolne pozostały — ku sztuce.

Z drugiej strony te same przyczyny polityczne spowodowały, że najlepsze jednostki w Polsce całą swoją energię poświęcały działalności politycznej.

Obok warunków natury zewnętrznej działa cały szereg innych, związanych z istotą metody, którą stosowano dotąd u nas w pracy gospodarczej. Ilekroć układano programy ekonomicznego odrodzenia kraju, trzymano się zawsze modły kapitalistycznej. Etyczny zaś i społeczny charakter kapitalizmu znajduje się w sprzeczności z idealizmem młodości.

Kapitalizm tworzy oligarchię bogactwa na tle ubóstwa mas. Powoduje coraz większą nierówność w podziale dochodów. Dorabia się do miliardów, wyzyskując robotnika i konsumenta. Potęguje ekonomiczną niewolę ludu i bogaci się jego krzywdą.

Kooperacya jest antytezą kapitalizmu. Podnosi ona dobrobyt grup, warstw, klas, ogółu. Broni interesów robotnika i konsumenta, uniezależnia społeczeństwo od tyranii milionerów trustowych.

Idealizm, jako zasadniczy ton psychizmu młodości, harmonizuje z ideą kooperacyi. To też kooperacya wzywa dziś młodzież polską do pracy gospodarczej. Coraz szerzej rozpowszechnia się pogląd, że działalność społeczna domaga się również twórczości, że najwyższym artyzmem jest artyzm tworzenia nowych stosunków nowego życia.

Dla ludzi moralnie czystych, dla ludzi, miłujących lud, pojmujących krzywdę i wyzysk kapitalizmu, kooperatyzm stał się metodą działalności gospodarczej, umożliwiającą pracę szczęśliwą, to znaczy bez kompromisów z sumieniem“...

Te gorące wezwanie prof. Milewskiego nie przeminęło bez echa, oto staraniem krakowskiej komisyi zarządu „Ogniwa“, Związku Towarzystw kształcącej się młodzieży polskiej, odbędzie się od d. 15 go maja do 30-go czerwca r. b. kurs współdzielczy dla uczniów wszystkich czterech wydziałów Wszechnicy Jagiellońskiej włącznie ze Studyum Rolniczem. Celem kursu jest dać możność praktycznego poznania we wszystkich najważniejszych kierunkach, tak organicznej jako też najbardziej celowej działalności stowarzyszeń Schulzego-Delitsch oraz kas Raiffeisena, tym, którzy niezadługo zasilą szeregi inteligencyi kraju i w ten sposób przysposobić ich do produktywnej na tej niwie obywatelskiej pracy. W 42 godzinach wysłychają uczestnicy kursu wykładów o organizacyi i rachunkowości w stowarzyszeniach zarobkowych i gospodarczych, w szczególności kredytowych i wytwórczych (handlowo-rolniczych, rękodzielniczych, spożywczych), o ustawach, opodatkowaniu i statystyce tych stowarzyszeń, o kasach raiffeisenowskich i wreszcie o bilansie (jak należy go czytać i krytycznie oceniać). W kursie zapowiedzieli udział uproszeni w charakterze prelegentów wybitni teoretycy i praktycy kooperatywy, mający za sobą wieloletnie na tem polu doświadczenie, jako to: dyrektor spółki fakturowej Adam Kaczorowski, urzędnik wydziału krajowego Antoni Kolarz, naczelnik miejskiego biura statystycznego dr. Kazimierz Kumaniecki, profesor akademii handlowej dr. Tomasz Lulek, profesor uniwersytetu Jagiellońskiego dr. Jerzy Michalski, instruktor przemysłowy dr. Wiktor Ostrowski, dyrektor Józef Strzyżowski, dyrektor muzeum przemysłowego dr. Till, prof. dr. Stanisław Wróblewski. Wykłady odbywać się będą od godz. 7 do 9 wiecz.

Początek więc zrobiono i początek dobry, życzyć więc tylko należy, aby takie kursy były ponawiane corocznie i aby nie stawały się narzędziem w rękach jakiegoś stronnictwa lecz były zawsze pozapartyjną szkołą uświadomienia w tej ważnej gałęzi pracy społecznej. *als.*

Wspomnienie pośmiertne o ś. p: Józefie Montwille z Wilna.

Panie, gwałt Cierpię — odpowiedz za mnie. Cóż rzekę, albo co mi odpowie, gdyż sam uczynił?
(Izaiasz XXX VIII 14, 15.)

Wśród burz i nawałnic, wśród cieni i gromów chwili obecnej, wśród tych rozpętanych żywiołów ludzkich, które dusze polskie gnębią i miotają niemi jako liśćmi suchymi, a horyzont zaciemniają tak, że już człowiek sam nie wie, z której strony słońce i czy zgoła jest jeszcze choć skrawek błękitnego nieba nad ziemią, wśród tych nieszczęść i ucisku przyszła nieubłagalna śmierć, i cichaczem porwała tego, który dzielił nasze troski i niedole nietylko jako brat, ale jako opiekun, ojciec i wódz!... który był jednocześnie pociechą i drogowskazem i łzy

osuszał i zachęcał do czynu, a przedewszystkiem, niosąc w swem sercu niezwykłe ideały chrześcijańsko-społeczne, z wielkim rozumem i dzielnością prowadził do nich tych, u których jest jeszcze iskierka dobrej woli!

— Do kogóż porównam Ciebie mężu zacny i nieskazitelny, mężu niezłomny w swej wierze, któryś nas tak raptownie opuścił w najcięższej chwili?...

Oto przytoczę poetycką legendę Gorkiego, którą może niejeden pamięta.

Danko, najpiękniejszy i najdzielniejszy wśród mężów swego plemienia, postanowił wybawić swych braci i wyprowadzić ich z głębokich niedostępnych lasów, gdzie marnowali życie bezczynnie wśród głuchej rozpaczy i ciągłej trawiącej tęsknocie za otwartym słonecznym stepem. I powiedział Danko tym mężom: Wstańcie i idźcie. I poszli—i prowadzi ich przez mroki i cienie, i gąszcz i bagna, i niebezpieczeństwa wszelkiego rodzaju — a że ci ludzie częstokroć zniechęcani długą i ciężką drogą nie ufają mu, buntują się i grożą, Danko, człowiek nadziei w chwili uniesienia wyrywa z piersi swe serce i uniósłszy wysoko ponad głowę gorejące ogniem, który płonie a nie pali, i tak z tą świecącą pochodnią prowadzi swych ziomków dalej i dalej, i tak przeszli ci ludzie przez las okrutny, a gdy ujrzeli brzeg lasu i bezmierny w słońcu kąpiący się step, Danko wyczerpany pada trupem, gdyż ostatnia kropla krwi wysączyła się z jego rozdartej piersi,— pada z uśmiechem na ustach i weselem w duszy albowiem miłość jego zwyciężyła!...

Oto w krótkich słowach historya ś. p. Józefa Montwiłła. Przyszedł w ciężkiej chwili niemocy i przygnębienia ogółu polskiego na Litwie, i z tego lasu mroków i bagien zapragnął wyprowadzić swych rodaków. Wstańcie i idźcie, powiedział — nie w rycerskości, nie w bojach, nie w krwi rozlewie, jak ongi, moc wasza, nie w tęsknocie i bólu bezsilnym i marzeniach życie wasze dzisiaj— ono jest w *czynie*, ono jest w *pracy*. I sam poszedł, świecąc we wszystkiem przykładem, i wskazywał drogi różne, rozpoczynając rozliczne prace dla dobra ludzkości, dla ratowania tego nieszczęsnego i zrujnowanego kraju, i wśród mroków, trzęsawisk, niebezpieczeństw różnego rodzaju prowadził swoją drużynę, wskazując drogę pracy na wszelkiej niwie, na niwie społecznej, filantropijnej, ekonomicznej, rolniczej, dla oświaty, dla kultury, dla sztuki, dla podniesienia dobrobytu ogółu, dla wychowania przyszłej dzielniejszej generacyi. I udawało mu się wszystko, bo był wielkim organizatorem, miał rozum i znaczne środki, a oddawał siebie i wszystko co miał w ofierze. Dlatego widzieliśmy go jako Danka z sercem wyrwanem ze swej piersi gorejącem i wzniesionem wysoko niby pochodnia aż do chwili, w której padł wyczerpany z nadmiaru wysiłków, padł przedwcześnie, bo step i światło i cel jeszcze daleko, bo nawet nie świta jutrzenka!...

Ale Gorki, zresztą pesymista—i nie nasz—i nie dla nas pisał!... Towarzysze jego bohatera złorzeczyli mu, nie wierzyli, chcieli go zabić — a jak już ostatecznie wyszli na światło dzienne w uniesieniu radości zapomnieli o nim... i przeszli po trupie!... I powiada Gorki, że serce jego rzucone na ziemię paliło się jeszcze płomieniem — i po nim przeszli ci ludzie bezmyślni i zdeptali je!...

Nie tak my, Polacy — nie tak czujemy, nie tak rozumiemy. Tu już analogia przerwana. Myśmy naszego przewodnika kochali, wielbili, myśmy mu ufali, a dziś płaczemy gorzkiemi łzami i szukamy go wszędzie, i ciężko nam, bo go nie masz. Płaczą go wszyscy i hołd mu oddają—i wszelkie sfery i wszelkie klasy — i widzieliśmy niezliczone tłumy, idące za pogrzebem tego wielkiego męża,

i słyszeliśmy słowa pełne natchnienia i siły głoszące o tem, czem był i pozostanie nadal w kraju. I ze wszystkich krańców dawnej Polski popłynęły słowa żalu i uwielbienia i ze wszystkich stron płyną ofiary nie na wieńce z więdniejących kwiatów na trumnę, ale na chleb dla duszy i ciała tych maluczkich, których on umiłował i dla których tyle zrobił. A jak zwłoki jego złożone na Rosie tak i te serce jego płomienne my nie zdepczemy, ani obojętnością, ani bezczynnością, ani rozpaczą—my je uniesiem z uszanowaniem i miłością i *w świątyni ideałów naszych* złożym je, *dla pokrzepienia dusz polskich na wieki.* Tam gdzie bohaterowie, tam gdzie wieszcze nasi, tam żyć będzie wiecznie serce wielkiego męża, męża idei i czynu, i wielkiego poświęcenia i wielkiej miłości.

Mężem idei i czynu był zaiste ś. p. Józef Montwiłł, ale na tle etyki chrześcijańskiej — nie zapominajmy o tem nigdy! Ideały Chrystusowe były dlań wzorem, nauka Chrystusowa drogowskazem, serce jego pałało miłością, bo je zapalała miłość Chrystusowa, żyło ofiarą, poświęceniem bo—brało przykład z Ukrzyżowanego.

Niech dziś młodzież nasza zapatrzona w ten obraz męstwa, cnoty i czynu, który ma jej świecić przykładem, nie zapomni, że ten obraz był wiernym odbiciem Tego, który przed 2000 laty powiedział: To jest przykazanie moje, abyście się społecznie miłowali! I dziś, w tych czasach nienawiści i ślepych nacyonalizmów, on jako prawdziwy Chrześcijanin i Polak żył tylko miłością i dlatego zbudował tak wiele. I my idźmy za nim w *miłości* i *pracy*, a przyszłość Polski w ręku naszem.

Marya Platerowa.

RONDA MISTYCZNE

PANNIE A. J. POŚWIĘCAM

...Krwi Najświętsza, z pod czarnych
[ściekająca cierni
Na twarz cichą, męczeńską, opłatko-
[wo bladą,
Na której cienie śmierci wampirze
[się kładą!...
O, płaczące niewiasty i uczniowie
[wierni,
Coście z Nim na Golgotę szli łzawą
[gromadą,
Przy dzikiem, strasznem wyciu tej ży-
[dowskiej czerni!...
Krwi Najświętsza, z pod czarnych
[ściekająca cierni!...

Krwi Najświętsza, z pod czarnych
[ściekająca cierni,
Z Boskiego czoła, co jest jedną krwa-
[wą raną,
Co je niewieścia litość otrze chustą
[lnianą!...
Jacyżeśmy dziś duchem nędzni, jak
[mizerni,
Jak niegodni być z tymi, którzy zmar-
[twychwstaną,
Co dukatowem złotem brzmią w du-
[cha probierni!...
Krwi Najświętsza, z pod czarnych
[ściekająca cierni!...

Krwi Najświętsza, z pod czarnym ście
[kająca cierni

Na żądz naszych plugawych zadźu-
[mione bagno!...
Jeśli się duchy nasze ku Tobie nie
[nagną,
Jeśli będziem poddawać się złu coraz
[bierniej,
Jeżeli serca nasze dobra nie zapra-
[gną,
To szatan karty dziejów zbrodniami
[zaczerni!...
Krwi Najświętsza, z pod czarnych
[ściekająca cierni!...

Wacław Wolski.

INFORMACYE.

Politechnika darmsztacka.

„Grossherzogliche Technische Hochschule zu Darmstadt" przyjmuje w ostatnich czasach kobiety jako rzeczywiste studentki.

Jak dotąd, ministeryum, od którego zależy ostateczna decyzya w kwestyi przyjmowania kobiet, uznawało świadectwo z ukończenia rosyjskiego rządowego 7-klasowego gimnazyum żeńskiego za dostateczne do przyjęcia kandydatki, jako rzeczywistej studentki z prawem otrzymania tytułu dyplomowanego inżyniera.

Egzaminy doktorek.

Ministeryum oświaty zawiadomiło kuratora warszawskiego okręgu naukowego, że w r. b. egzaminy doktorek, które otrzymały dyplomy zagranicą, odbywać się będą wyłącznie w lekarskich komisyach egzaminacyjnych.

Dla młodzieży żeńskiej.

Za parę tygodni cały zastęp młodzieży żeńskiej stanie wobec zagadki życia ze świadectwami ukończenia szkoły w rękach i z pytaniem: co dalej? Jest to moment wysokiej doniosłości, w którym zapadła decyzya częstokroć stanowi o ułożeniu się przyszłości całej.

Może dla tej gromadki pytających, która swą przyszłość na osobistej pracy oprzeć będzie musiała, nie będzie obojętna wiadomość, że na przedmieściu Londynu, Enfield, znajduje się zakład naukowy żeński Collegiate School, którego kierowniczka, pani Fr. Murray, jest polką i ożywioną najgorętszem pragnieniem przysłużenia się rodakom. Uczennice tego zakładu zdają egzamina przed komitetem uniwersytetu Oxford lub Cambridge.

Znajomość języka angielskiego staje się dziś coraz bardziej konieczną. Pominąwszy modę, której kaprys czyni ten język językiem salonu, bez angielskiego niepodobna dziś brać się do poważniejszych studyów, szczególniej w dziedzinie filozofii, socyologii, i historyi. Tymczasem nabywanie tego języka nie jest łatwe

u nas: nauczyciele są nieliczni i kosztowni. Brak nam nauczycieli rodzinnych, gdyż jest to język, który dotąd mało kto studyował dla celów nauczania. W kolegium Enfildzkiem kurs języka, przygotowujący do egzaminu trwa lat dwa. Za naukę wraz z utrzymaniem płaci się 400 rb.; podróż tam z Warszawy klasą drugą kosztuje 48 rb.

O ile o programach i metodach nauczania w szkołach angielskich średnich i wyższych są różne zdania od pochwał do potępień, o tyle ochroniarstwo i nauczanie początkowe zyskało ogólne uznanie. Ta więc gałąź pedagogii jako też gimnastyka, rysunek i śpiew szkolny bardzo zasługują na studya. I w tym kierunku zakład p. Murray pomocnym być może, gdyż przygotowuje na nauczycielki i prowadzi też ochronę i elementarną szkołę.

Bliższe wiadomości zaczerpnąć można wprost z miejsca. Adres. Anglia, *Enfield* London Rood—Juglas Loge. M-e Murray.

Numer 4-ty wyjdzie łącznie z 5-ym w jednym zeszycie podwójnej objętości.

KRONIKA.

Ś. p. biskup Karol Niedziałkowski. W pierwszym tygodniu kwietnia zmarł w Żytomierzu biskup dyecezyi Łucko-Żytomierskiej, do której należy Ukraina, Wołyń i Podole.

Zmarły dostojnik Kościoła urodził się w r. 1846; po studyach seminaryjskich w Żytomierzu ukończył następnie Akademię duchowną w Petersburgu ze stopniem doktora teologii. Na kapłana wyświęcony w r. 1869, był początkowo profesorem seminaruym w Żytomierzu, później zaś w Akademii petersburskiej, której też został potem rektorem. Będąc na stanowisku rektora Akademii, 23 listopada 1897 r. otrzymał Sakrę biskupią i sufraganię mohylowską. W r. 1901, po nominacyi J. E. ks. Kłopotowskiego, Biskupa łucko-żytomierskiego, Metropolitą w Petersburgu, ś. p. Biskup Niedziałkowski, w dniu 2 kwietnia 1901 r. prekonizowany został na Pasterza dyecezyi łucko-żytomierskiej.

Po za obowiązkami duchownymi zmarły dostojnik z zamiłowaniem poświęcał się pracy literacko-publicystycznej

Przez długie lata swej działalności pisarskiej z ogromną i niesłabnącą werwą zabierał głos w najprzeróżniejszych kwestyach obchodzących szeroki ogół. Właściwości temperamentu jego pisarskiego są zbyt znane, aby się nad niemi rozwodzić. Pracami swemi zasilał *Przegląd katolicki*, *Wędrowca*, kijowski *Głos katolicki*, a w latach ostatnich prawie wyłącznie *Rolę*. Z części tych rozpraw i artykułów powstało dwutomowe dzieło „O chrześcijańską zasadę", pokrewne drugiemu pod tytułem „Miraże mądrości", dalej wymienić należy studyum w sprawie

emancypacyi kobiecej p. t. „Nie tędy droga, szanowne Panie!”, obszerną pracę „Poganizm i chrześcijaństwo“ cały szereg gruntownych rozpraw w „Encyklopedyi Kościelnej” oraz wiele pomniejszych prac, artykułów i broszur, nieraz pod przybranem nazwiskiem Antoniego Rawicza drukowanych.

Na krótko przed zgonem zapowiedział jeszcze rozprawę o „Zarysie nowego programu“ *Roli*, ale śmierć przeszkodziła wykonaniu tego projektu.

Pięćdziesięciolecie politechniki ryskiej. Grupa byłych studentów Ryskiej Politechniki zamierza z okazyi obchodu pięćdziesięciolecia tej wyższej uczelni w dniu 2 października 1912 roku wydać „Album academicum“, które w połączeniu ze statystycznem opracowaniem, ma dać całkowity obraz działalności wychowańców Politechniki.

Wykonanie tego zadania będzie tylko w takim razie możliwe, jeśli znajdzie czynne poparcie u wszystkich kolegów, przez nadsyłanie wszelkiego rodzaju materjałów i danych. Zważywszy, iż utworzony w tym celu komitet musi porozumieć się z każdym z byłych studentów naszej uczelni, uprasza się wszystkich o możliwie rychłe nadsyłanie adresów do Komitetu Wydawniczego „Album academicum“ Politechniki Ryskiej.

Ryga, skrzynka pocztowa № 336

W przekonaniu, że podjęta praca obudzi ogólne zainteresowanie i ze względu na nader ograniczony czas, Komitet prosi o energiczne poparcie i zwraca się do wszystkich dzienników z prośbą o powtórzenie tej odezwy.

Konkurs „Przeglądu powszechnego”. Zbliżająca się rocznica Piotra Skargi, która z pewnością pozostawi po sobie niejedno doniosłe dzieło, skłania nas do skromnego udziału w przygotowawczych pracach. Jednym z przejawów tego udziału jest niniejszy konkurs.

Przedmiotem konkursu jest praca literacka na temat: „Rodzaj twórczości Skargi”.

Celem pracy ma być określenie działalności kaznodziejskiej i pisarskiej Skargi pod względem artystyczno - literackim, a więc określenie indywidualności twórczej, jej podstawowych uzdolnień i przejawów tych uzdolnień w słowie mówionem i pisanem.

Rozmiary pracy dowolne.

Nagroda konkursowa wynosi 800 koron.

Czas konkursu kończy się z dniem 15 października 1911 r. Wynik będzie ogłoszony w zeszycie styczniowym „Przeglądu Powszechnego” na rok 1912.

Redakcya zastrzega sobie prawo pierwszego druku utworu nagrodzonego, za co zapłaci zwykłe swoje honoraryum.

W wypadkach, tenorem niniejszym nieprzewidzianych, rozstrzygnięcie należy do sądu konkursowego.

Sąd konkursowy składają pp. Kazimierz Morawski, Ignacy Chrzanowski, Lucjan Rydel, Antoni Mazanowski, ks. Jan Pawelski T. J.

Rękopisy, zaopatrzone godłem, wraz z zamkniętą kopertą temże godłem naznaczoną, w której mieścić ma się karta z nazwiskiem i dokładnym adresem autora, należy nadsyłać pod adresem: Redakcya „Przeglądu Powszechnego”, Kraków, ul. Kopernika 26.

„Myśl”—jednodniówka wydana w lutym w Petersburgu przez grono polskiej młodzieży uniwersyteckiej. Na treść jej złożyły się następujące artykuły: słowo wstępne od redakcyi; „Młoda Polska” przez Szymona Bogdańskiego, „Z prasy” i „Strajk na wyższych uczelniach galicyjskich“ przez Zbigniewa Terleckiego. Jak widzimy treść tej „Myśli“ przedstawia się ubogo; zapewne jest to wynikiem nie jałowości grupy, która się chciała przez to wydawnictwo wypowiedzieć, ile doraźności dojścia do skutku jednodniówki, mającej zastąpić doroczne zebranie lutowe młodzieży wyższych uczelni Petersburga.

Rozstrzygnięcie konkursu „Kroniki powszechnej“. Zważywszy, że sąd konkursowy znalazł pomiędzy nowelami nadesłanemi na konkurs „Kroniki powszechnej” dwie nowele pod tytułem „Obraz” i „Legendy św. Jadwigi” mniej więcej równorzędne pod względem wartości literackiej i artystycznej, jury konkursowe postanowiło przyznać tym nowelom dwie nagrody równe i przepołowiło w tym celu sumę trzystu koron, przeznaczonę do nagrody, udzielając każdej z tych dwu wymienionych nowel po koron 150 (sto pięćdziesiąt).

Po otwarciu kopert okazało się, że autorem „Obrazu” jest p. Jan Andruszewski, a „Legend św. Jadwigi” p. Edward Ligocki.

Oprócz nowel nagrodzonych sąd konkursowy odznaczył zaszczytnie następujące nowele:

„Rozbieżne drogi“ p. Janiny Kossak—Pełeńskiej. „Zrobiło się jasno“ p. Łucyi Hornowskiej. „Już one takie“ p. A. Wojki. „Judaszowa wina“ p. M. z Rybczyskich — Česky. „Helios“ p. J. Makarewiczowej. „Najdroższy i jedyny“ p. Zdzisława Kamińskiego.

Lwów, dnia 23 kwietnia 1911 r.

St. Henryk, Badeni, T. Jeske Choiński, A. Krechowiecki, M. Masłowski, ks. Stanisław Sopuch, Zygmunt Wasilewski.

Czterdziestolecie poety. W r. b. przypada czterdziestolecie poetyckiej i powieściopisarskiej działalności Wiktora Gomulickiego, wielkiego liryka i prawego artysty. Jubilatowi należy się wypoczynek i otucha do dalszej pracy bez troski o najbliższe jutro.

Wierząc silnie, że ta zasłużona zapłata będzie mu dana, ogłaszamy niniejszem prenumeratę na *Wybór nowel Wiktora Gomulickiego*, na wyłączną korzyść autora. Wybór ten, zawarty w jednym wielkim tomie, ilustrowany będzie przez najpierwszych artystów polskich i obejmie najprzedniejsze perły twórczości nowelistycznej autora „Miecza i łokcia”.

Cena egzemplarza w prenumeracie wynosi rubli 3, które nadsyłać należy do Redakcyi *Prądu*.

Tuszymy, że społeczeństwo polskie, pojmując całą doniosłość tej formy uznania, pospieszy z wyrazem hołdu dla talentu i zasługi.

Zygmunt, Jan Lorentowicz, Konrad Olchowicz, Artur Oppman, Henryk Sienkiewicz, Ludwik Straszewicz, Kazimierz Tetmajer, Józef Weyssenhoff, Józef Wolff.

O muzeum polskie w Rapperswilu. Dyrektor tego muzeum p. Józef Gałęzowski ogłosił w pismach następujące oświadczenie:

„Wobec ataków na Radę Muzeum w Rapperswilu, połączonych z całym szeregiem zarzutów, dotyczących gospodarki muzealnej,—oświadczam, że ponieważ zarzuty te skierowane są przeciw całej Radzie,—nie mogę odpowiadać na nie w mojem imieniu, ani też nie może tego uczynić Delegacya paryska, będąca organem wykonawczym Rady.

Natomiast oświadczam też, że na najbliższym Zjeździe Rady Muzealnej, t. j. w sierpniu r. b., wszelkie podniesione zarzuty będą gruntownie roztrząsane; poczem ogłoszony zostanie memoryał, wyjaśniający wszystkie kwestye, tyczące się Instytucyi naszej i jej Rady, a poruszone w listach prywatnych i w pismach publicznych“.

Obyż ta zwłoka zrobienia porządków w stosunkach rapperswilskich była już ostatnia!

„Wolna myśl”. We Lwowie istnieje Stowarzyszenie młodzieży pod nazwą „Akademicka Liga wolnej myśli“. Kto grupuje się w niej, można poznać z nazwisk młodzieży, wybranej na ostatniem walnem zgromadzeniu do wydziału tego Stowarzyszenia. Są one następujące: Symche, Gelman, Zygmunt Glückmann, Herman Chotiner, Iwaniszczak, Pawło Łeszczij, Irena Nikraszówna, Mirosław Zdziarski, Stefania Danyłowiczówna i Michał Skornyj.

Zjazd „Ogniwa” związku polskich stowarzyszeń akademickich, istniejących w obrębie Austryi odbył się we Lwowie w okresie świąt wielkanocnych. W zjeździe brali udział delegaci ze Lwowa, Krakowa, Wiednia, Pragi Czeskiej, Przybramy, Grodźca (Gracu) i Łubna (Leoben). Obszerniejsze sprawozdanie z tego zjazdu umieścimy w numerze najbliższym.

O miejsce kongresu pokoju. Z powodu zamierzonego urządzenia kongresu pokoju w r. b. w Rzymie prezes kijowskiego T-wa pokoju Michał hr. Tyszkiewicz do prezesa międzynarodowego biura kongresów pokoju w Bernie wystosował list następujący:

Szanowny Panie!

XIX kongres powszechny pokoju ma się odbyć tej jesieni na zaproszenie delegatów włoskich w Rzymie podczas uroczystości jubileuszowych z powodu zajęcia miasta Wiecznego przez wojsko włoskie.

Jako katolik i zwolennik pokoju pozwalam sobie zaprotestować przeciwko temu projektowi, który wciąga T-wa pokojowe do manifestacyi antykatolickiej, nacyonalistycznej i militarystycznej.

Manifestacye te obrażają uczucia religijne trzystu milionów ludzi. Pacyfizm — przyznaję to, nie jest specyalnie katolicki;— nie jest też specyalnie antykatolicki, ani też masoński i nie powinien brać udziału w jakiejkolwiek manifestacyi w tym rodzaju.

Powinien być przedewszystkiem logiczny. Niema żadnego powodu do święcenia jubileuszu zajęcia Rzymu i proklamacyi jedności Rzymu, podobnież, jak niema żadnej racyi święcenia rocznicy zdobycia Paryża i proklamowania jedności niemieckiej w Wersalu.

Ośmielam się żywić nadzieję, że Biuro międzynarodowe pokoju podobnież, jak wszyscy prawdziwi pacyfiści, pomimo wszystkich swoich sympatyi bardzo uprawnionych do narodu włoskiego, zrzekną się aktu, zupełnie niezgodnego z ich programem.

Zwracając się niejednokrotnie do Pasterzy Najwyższych, by błagać ich o błogosławieństwo, organizatorowie Kongresów Pokoju (w Budapeszcie, Monachium i Medyolanie) pamiętali o tem, że sama idea pacyfizmu, nieznana w starożytności, była dziełem katolicyzmu i papiestwa. „Wieki średnie — zaznacza słusznie p. Emil Faguet — nie znały pacyfizmu oprócz tego, który wypływał od tronu Apostolskiego".

W charakterze prezesa — organizatora T-wa pokoju, jakkolwiek liczy ono mniejszość katolików, sądzę jednak, że mogą sobie pozwolić zapewnić Pana, że „Kijowskie T-wo Pokoju" nie wyśle delegatów na kongres, jeśli ten ostatni ma brać udział w manifestacyach rzymskich.

Jeśli strajk mógł wstrzymać kongres w Sztokholmie, pragnąć wypada, by pobudka wznioślejsza uczucia sprawiedliwości, bezstronności, niezależności i prawdziwej wolnomyślności, które są podstawą prawdziwego pacyfizmu — ożywiła nas dzisiaj i wstrzymała nas dzisiaj od decyzyi, która może nam wyrządzić tylko największą krzywdę.

Mam zaszczyt proponować Hagę, jako miejsce, w którem ma się zebrać XIX kongres powszechny w r. 1911.

Racz Pan przyjąć panie prezesie, zapewnienie moich uczuć najszczerszych.

Prezes kijowskiego T-wa Pokoju

Michał hr. Tyszkiewicz.

Jednocześnie zarząd T-wa, złożony z p. p. Jeremiejewa, Rumszewicza, Olgi Kosarz, Szczerbiny, Ottona Glinki i A. Nikołajewa wystosował do prezesa Biura międzynarodowych kongresów pokoju odezwę następującą:

„Niżej podpisani członkowie zarządu T-wa P. P. Kijowa i Południowo-Zachodniej Rosyi mają zaszczyt założyć protest przeciwko projektowi, wciągającemu towarzystwa pokoju do udziału w manifestacyach, niezgodnych z programem pokojowym a mających się odbyć jesienią roku 1911 w Rzymie z powodu rocznicy zajęcia tego miasta przez wojska włoskie". (podpisy).

△ Miesięcznik litewski dla młodzieży. W Kownie ma zacząć wychodzić nowy miesięcznik litewski, poświęcony sprawom młodzieży. Będzie to dodatek do pisma „Draugija", wydawanego przez ks. Dąbrowskiego.

△ Odezwa studentów chińskich. Ostatnia wymiana not dyplomatycznych między Rosyą i Chinami, w której Chiny musiały uledz żądaniom Rosyi znalazła odgłos wśród patryotycznie nastrojonej części młodzieży chińskiej.

Mianowicie studenci chińscy, przebywający w Japonii, wydali odezwę, wskazującą na oczekiwaną okupacyę terytoryum chińskiego przez Rosyę i na zamiary Anglii wobec pogranicznych miejscowości Tybetu. Podział Chin się rozpoczyna. Na rząd liczyć nie można. Studenci zgromadzili 10,000 tealów na założenie towarzystwa ratowania ojczyzny. Rzecz charakterystyczna, że urzędowy organ jeneralnego gubernatora mandżurskiego przedrukował tę odezwę.

△ Studenci kelnerami. Z czarnej tablicy uniwersytetu peszteńskiego zdjęto na zarządzenie władz uniwersyteckich ogłoszenie Stow. studenckiego, które zajmuje się także wyszukiwaniem zajęć dla studentów. Ogłoszenie to donosiło, że pewna właścicielka restauracyi w miejscowości kuracyjnej w miesiącach letnich przyjmie studentów za kelnerów z płacą 200 koron miesięcznie, z warunkiem, że nie będą brali napiwków. Kilku studentów zgłosiło się o te posady. Sprawa wywołała bardzo żywą wymianę zdań w prasie i sferach uniwersyteckich. Dziekan wydziału prawniczego oświadczył, że uznaje, iż posada kelnera nie godzi się ze stanowiskiem słuchacza uniwersytetu, oraz że studenci. służący w wojsku, objąwszy takie zajęcie, nie mogliby uzyskać stopnia oficera rezerwowego. Zaznaczyć należy przy tej sposobności, że w Ameryce np. nie stanowi bynajmniej ujmy dla studentów ubogich zajmowanie się fryzyerstwem lub kelnerstwem, aby zarobić na życie.

△ Do dłużników. Ogólnie wiadomą jest rzeczą, w jak ciężkich warunkach materyalnych znajduje się młodzież nasza, kształcąca się w wyższych zakładach naukowych w Rosyi.

Oderwani od kraju rodzinnego, siłą wypadków lat ubiegłych rzuceni na obczyznę, cała masa kolegów naszych musi staczać ciężką walkę o byt. Kasa studentów polaków uniwersytetu petersburskiego jest

jedną z tych instytucyi, która podaje pomoc materyalną kolegom w chwilach krytycznych.

O ile ciężki los młodzieży polskiej powinien każdego obywatela polaka interesować, o tyle zainteresowanie się to powinno być kategorycznym imperatywem dla tych, którzy z tym losem się borykali i którzy potrzebowali pomocy naszej instytucyi.

Uważamy, iż zaciągnięcie długu w instytucyi samopomocy koleżeńskiej nie jest jedynie tranzakcyą finansową, lecz jest jeszcze zobowiązaniem honoru.

Odwołujemy się więc do honoru, do poczucia obywatelskiego, do instynktu solidarności społecznej byłych członków, a obecnych dłużników naszej Kasy.

Mamy nadzieję, iż słowa niniejsze osiągną odpowiedni skutek i dłużnicy instytucyi naszej nie uchylą się od obowiązku spłacenia w najbliższym czasie zaległych długów. W przeciwnym razie zmuszeni będziemy uciec się do środków bardziej stanowczych, jako to publikowanie nazwisk.

W imieniu zarządu K. S. P. U. P.
Przewodniczący *Mieczysław Biskupski.*

P. S. Stały adres dla nadsyłania należności S. Petersburg, Newski prospekt № 22, W-ny Franciszek Piekarski.

△ **Konkurs medyczny** „Koło medyków" Wszechnicy Lwowskiej chcąc zachęcić uczącą się młodzież lekarską do prac samodzielnych, ogłasza konkurs na pracę oryginalną z zakresu nauk lekarskich.

Warunki konkursu:

1) Udział w konkursie brać mogą członkowie „Koła Medyków", tudzież wszyscy studenci medycyny Polacy studyjący na uniwersytetach galicyjskich i zagranicznych;

2) Temat dowolny, wchodzący w zakres nauk lekarskich;

3) Termin nadsyłania prac: 1 maja 1911 r.

4) Nagroda za najlepszą pracę wynosi 100 kor.

5) Praca nagrodzona staje się własnością „Koła Medyków" Wszechnicy Lwowskiej.

6) Prace nadsyłać należy do Redakcyi „Tygodnika lekarskiego" (Lwów, ul. Piekarska l. 52).

W skład sądu konkursowego wchodzą: prof. dr Antoni Noga Mars, prof. dr. Stanisław Bądzyński, doc. dr. Witolda Nowicki.

Za Wydział „Koła Medyków" Wszechnicy Lwowskiej
Przewodniczący *Tomasz Kożuchowski.*
Sekretarz *Henryk Gorczyński.*

Notatki statystyczne

▽ **Wzrost katolicyzmu w Szkocyi.** Ostatni dziennik lodyński *Catholic Herald* ogłasza ciekawe szczegóły o wzroście Kościoła katolickiego w Szkocyi. W r. 1800 było tam zaledwie 2 biskupów, 40 księży, 12 kościołów i 30,000 katolików.. W 30 lat później bylo już 4 biskupów, 50 księży, 31 kościołów i 70,000 wiernych. W następnych latach liczba katolików wzrosła 10-o krotnie, gdyż było już wówczas 232 kościoły, 150 szkół katolickich i 300 tysięcy wiernych. Obecnie mamy w Szkocyi 2 arcybiskupów, 4 biskupów, 555 księży, 394 kościoły, 262 szkoły i 518,629 wiernych. Inne wyznania pozostają znacznie w tyle.

▽ **Chińczycy w wyższych uczelniach.** Kosztem rządu chińskiego w Europie kształcą się Chińczycy w liczbie: w akademiach wojskowych 126, uniwersytetach 218, w szkołach wyższych specjalnych 167, a nad to przeszło tysiąc Chińczyków kształci się w różych wyższych europejskich zakładach naukowych własnym kosztem.

▽ **Uczniowie Polacy w Poznaniu.** Według obliczeń „Dziennika Poznańskiego" w trzech gimnazyach poznańskich, szkole realnej i w szkołach przygotowawczych było kolo 385 uczniów Polaków, w szkołach żeńskich koło 615 Polek. W szkołach średnich — kolo 1930 uczniów i uczenic, W szkołach ludowych wiejskich było koło 12400 dzieci polskich. Polacy stanowią w nich przeszło 3/4 ogółu uczniów.

▽ **Kary na studentów petersburskich.** Według obliczeń dzienników w ciągu stycznia i lutego r. b. policya aresztowała w Petersburgu 734 studentów, zapisała jako podejrzanych 2,374, uwolniono zaś z wyższych

zakładów naukowych ogółem 1,850 studentów.

Katolicyzm w Chinach. Pewien misyonarz katolicki, który spędził 25 lat w Szanghaju, podaje następujące wiadomości o rozwoju katolicyzmu w Chinach. Na misjach tamtejszych pracuje przeszło 160 jezuitów, mając do pomocy 40 księży Chińczyków. Rząd chiński obecnie nie jest jawnie wrogim dla katolików i spodziewać się można, że w przyszłości wiara katolicka będzie tu miała jeszcze większe uznanie. Na ogólną liczbę ludności w Chinach (420 miljonów), katolików jest 1 miljon 500 tysięcy. Mają oni 45 biskupów i 2,000 księży, prócz tego wielu zakonników i zakonnic. Liczba przygotowująca się do wiary katolickiej wynosi pół miliona; w ciągu ostatnich pięciu lat przybywa Kościołowi rokrocznie około 100,000 nowych wyznawców.

Duchowieństwo katolickie w Królestwie Polskiem. Najmniejsza w Królestwie Polskiem dyecezya sejneńska, liczy 352 kapłanów na 682.955 wiernych, czyli jeden kapłan przypada na 1,993 wiernych; płocka — 380 kapł. na 810,299, czyli 2,132 na jednego; włocławska — 536 kapł. na 1,420,625, czyli na jednego kapłana 2,654; sandomierska — 292 na 863,110, czyli jeden na 2,953; kielecka 339 na 979,885, czyli blizko trzy tysiące na jednego kapłana: warszawska 522 kapłanów na 1,793,769, czyli jeden na 3,446 wiernych; lubelska 400 kapł na 1,599,203, czyli jeden kapłan na cztery tysiące wiernych. Razem w Królestwie Polskiem w roku 1910 było 2,821 kapłanów na 8,154,747 katolików.

Do niniejszego numeru „Prądu“ dołącza się prospekt dzieła ks. dr. I. Radziszewskiego: „Geneza religii w świetle nauki i filozofii”.

Odpowiedzi Redakcyi.

Autorowi „Z teki Prudeusa Kogitalskiego”. Rzecz była dobrze uchwycona i mieliśmy zamiar drukować, z powodu jednak opóźnienia numeru utwór stracił na aktualności i z tej tylko przyczyny nie skorzystaliśmy z niego. Co do prac innych napiszemy wkrótce listownie.

Pani Maryi H w Świst. (Galicya). Z łaskawie nadesłanej odezwy skorzystamy w numerze najbliższym. Polecamy się nadal pamięci. Numer z odezwą prześlemy.

Kol. Jan Or. w Wiedniu. Za wiadomości o powstaniu stowarzyszenia „Polonia“ serdecznie dziękujemy. Nadesłane informacye zostaną umieszczone w Nr. 4 5-ym „Prądu”.

Autorowi wiersza „Na grobach”. Wiersz czyta się gładko, ale ta gładkość osiągnięta jest kosztem logicznego toku myśli w utworze, z tego powodu rzecz do druku nie nadaje się zupełnie. Radzimy pracować dalej, a może następne próby będą udatniejsze.

Redaktor i Wydawca Adam Szymański
Druk. E. Nicz i S-ka Nowy-Świat 70

Warszawa. Marzec 1911. Nr. 3.

PRĄD

DZIAŁ MŁODZIEŻY.

Pod rozważenie.

Wprowadzając w roku ubiegłym „Dział młodzieży”, mieliśmy na celu danie możności wypowiedzenia się tym, co dopiero do szerszego życia społecznego czynią przygotowanie na ławie szkolnej.

Obecnie po roku prowadzenia tego działu zwracamy się do naszych Czytelników, aby zechcieli wypowiedzieć swoje zdanie, jak się nań zapatrują, czy uznają, że odpowiada swemu zadaniu, czy też widzą może potrzeby pewnych zmian w tym dziale lub pozostawienia układu z roku zeszłego o charakterze zupełnie samoistnej całości.

„Dział młodzieży” według naszych zamierzeń miał być w miniaturze odbiciem głównego numeru z dodatkowem uwzględnieniem prac literackich. Jeżeli nie zawsze tak było, to z tego powodu, że ciągle redakcya miała do rozporządzenia utworów literackich znacznie więcej, niż prac innego rodzaju. Nieraz też redakcya była w trudnem położeniu z powodu fałszywej ambicyi niektórych młodych autorów. Bywały np. zdarzenia, że uczeń klas wyższych lub nawet maturzysta przysyła wcale niezłą rozprawkę etyczną czy społeczną, w sam raz nadającą się do „Działu młodzieży,“ a tymczasem stawia warunek, żeby koniecznie była drukowana w numerze głównym, do którego nie odpowiada-już to nikłymi rozmiarami — już to niezupełnem wyczerpaniem przedmiotu. Mieliśmy nawet wypadki oburzania się na redakcyę z powodu zakwalifikowania nadesłanej pracy do dodatku, więc często rzecz dobrą dla „Działu młodzieży“ trzeba było zwracać autorowi, upierającemu się przy umieszczeniu w numerze głównym.

Wobec tego rodzaju trudności w roku bieżącym przestaliśmy przestrzegać utrzymywania stałej objętości „Działu młodzieży“ i w pierwszych dwóch tegorocznych numerach dodatkowi poświęciliśmy tyle stron, na ile było materyału, nie siląc się na dopełnianie do ośmiostronicowej całości. Ponieważ doszły nas odgłosy niezadowolenia z takiego postawienia rzeczy, a z drugiej strony doradzano zupełne zniesienie dodatku i rozszerzenie jego kosztem numeru głównego — więc chcielibyśmy wiedzieć poglądy szerszych kół naszych Czytelników na tę kwestyę, bo do tej pory nie mamy pewności, czy dochodzące nas opinie są również i przez nich podzielane, czy też przedstawiają tylko osobiste zapatrywanie jednostek. Łaskawe odpowiedzi w tym względzie prosimy nadsyłać pod adresem redakcyi naszej *Warszawa, Warecka 10.* Pośpiech pożądany.

I codzień czekam świtu...

I codzień czekam świtu,
co wskrzesi dawny dzień,
co spędzi mgłę z błękitu
czarem wiosennych tchnień--

A w mojej piersi rana
płacze serdeczną krwią:
mieć w sobie moc tytana
zetrzeć wieczyste zło —

A może sił nie stanie,
gdy miarę przejdzie ból,
ostatnie szczęścia łkanie
wydrze mi śmierci król—

Lub może pierś zalegnie
milczący zimny głaz,
bo to, co się nie zegnie,
to pęknąć musi wraz.

Może wykrzywi usta
szyderczy suchy śmiech—
odpowie przestrzeń pusta
śmiechu tysiącem ech—

Lecz codzień czekam świtu,
co wskrzesi dawny dzień,
co spędzi mgłę z błękitu
czarem wiosennych tchnień.—

St Mar.

Wacław Skarbicz.

Twórczość i twórcy.

(Przyczynek do psychologii twórczości)

I.

Co to jest sztuka? Pytanie to od wieków już błądzi w świadomości ludzkości; człowiek stara się na nie odpowiedzieć, stara się określić i ukonkretnić pojęcie sztuki — lecz dotąd nie udało mu się tego dokonać. Mamy wprawdzie tysiące określeń, tysiące ogólników — lecz nie mamy jasnego, stałego zupełnego określenia sztuki, jej celów i środków, nie mamy rozumowego, analitycznego sprawdzianu, za którego pomocą moglibyśmy badać płody ducha ludzkiego, definiować je, klasyfikować i ustanawiać granice między sztuką prawdziwą, a jej bezwartościowem naśladownictwem.

Są oczywiście pewne dzieła, bijące wprost w oczy swym artyzmem, dzieła, które, jak objawienie, rozpraszają mroki naszego pospolitego bytowania, — dzieła, które wstrząsają do głębi naszą jaźnią czującą i wobec których stajemy bezradni, oniemieli przygnieceni ogromem i potęgą twórczego ducha ludzkiego, a z ust naszych wyrywa się okrzyk, pełen zachwytu: tak to sztuka, to sztuka najczystsza, najwznioślejsza...

A są i inne, do tego stopnia nędzne i płaskie lub do tego stopniu konwencyonalno-zimne, że każdy cokolwiek głębiej myślący i czujący odwraca się od nich z niesmakiem i w świadomości swej wygłasza nad niemi wyrok potępieńczy: to bezduszne naśladownictwo sztuki.

Lecz większość dzieł, należących do jakiejkolwiek kategoryi sztuki, większość dzieł literatury, malarstwa, rzeźby i t. p., nie doczeka się od nas sądu stanowczego; mówimy: „tak, jest to niby to, niby owo, a w gruncie rzeczy niewiadomo co“ i uchylamy się dyplomatycznie od sądzenia — dlatego, żeśmy sądzić niezdolni, że zbyt nam trudno wznieść się nad poziom rzeczywistości, zdobyć się na te zupełne zatracenie, unicestwienie własnej indywidualności a wcielenie się, zespolenie duchowe z duchem twórcy; bez czego nie może być należytego odczucia dzieła, należytego zrozumienia i należytego sądu. I często wspaniałe, głębokie dzieła są przez nas niedocenione, lekceważone i w prochu półek księgarskich czy w pyle samotnych pracowni oczekują na lepsze zrozumienie przez potomność, podczas gdy fałszywe, zręczne i jaskrawe lecz bezwartościowe naśladownictwa znajdują pełną uznania krytykę i budzą podziw

a zaszczyt w sercu niewybrednego czy też niewykształconego estetycznie czytelnika lub widza. Różnice pozorne między dziełem o większej wartości artystycznej a jego imitacyą są bardzo nieznaczne, lecz jeśli wnikniemy w głąb, dotrzemy do jądra obu dzieł, to ukaże się oczom naszym przepaść ogromna, dzieląca dzieło prawdziwej sztuki od naśladownictwa.

Co to jest dzieło sztuki? Dzieło sztuki — jest to płód, twór wolnego, niczem nieskrępowanego, wpół-świadomego w swych przejawach, twórczego ducha ludzkiego; dzieło sztuki — jest to synteza wpół-świadomych, intuicyjnych,—mimowolnych często dążeń, myśli i afektów twórcy, ujętych w całość, ukonkretnionych i przepojonych mistyczną mocą talentu.

Zakres sztuki nader jest szeroki; nie da się tu ustanowić żadnych zewnętrznych granic — gdzie tylko jest proces tworzenia, ba wewnętrzna dążność ducha twórcy do usyntetyzowania swych psychicznych nastroi — bądź to w formie dzieła literatury, bądź w formie obrazu, rzeźby lub melodyi — tam jest sztuka.

Jakkolwiek sztuka jest jedna, to jednak procesy psychiczne, związane z tą lub ową formą twórczości są bardzo niejednakowe; wewnętrzny przebieg procesu tworzenia jest wręcz inny u malarza niż u poety,—u muzyka niż u rzeźbiarza. Jedyną cechą wspólną wszystkim twórczym procesom ducha ludzkiego jest ich swoboda, nieskrępowana żadnymi więzami i ich konieczność, wynikająca z nieprzepartego dążenia ducha do ukonkretniania swych stanów. Chcę się pokusić o pewne wyświetlenie procesów psychicznych, związanych z każdą poszczególną gałęzią twórczości, a zarazem określić zasadnicze różnice tych procesów, wynikające z indywidualnych właściwości autora z samoistności jego „ja“ myślącego i czującego,

Zacznę od twórczości literackiej, jako bardziej spopularyzowanej i najbardziej dostępnej naszym badaniom.

Zadaniem poety jest odtwarzać stany psychiczne; lecz z tego nie wynika, żeby każde podobne odtworzenie było sztuką w najwyższem tego słowa znaczeniu. Aby dane dzieło wzniosło się nad poziom pospolitej reprodukcyi, aby zajaśniało twórczym blaskiem, aby rzuciło snop świetnych promieni, jak czarodziejski meteor—winno ono być wytworem geniuszu twórczego. Wpływ geniuszu na dzieło uwydatnia się w tysiącu szczegółów, w tysiącu drobiazgów, niepochwytnych na pozór, lecz nadających dziełu specyalny koloryt, wlewający treść w martwą formę. Takie dzieło spełni główne swe zadanie; wzbudzi oddźwięk w duszy czytelnika, — rozchwieje, rozkołysze odmęty oschłego racyonalizmu ducha, pod któremi w sercu każdego tai się iskierka uczucia, — wznieci tłum myśli, obrazów, uczuć,—rozkaże wyobraźni czytelników dźwięczeć w takt twórczej wyobraźni poety. Czytelnik (oczywiście mówię tu o inteligentnym czytelniku) odtworzy te procesy, te uczucia, myśli i afekty, pod których wpływem tworzył poeta; odbije na czułej kliszy swej wyobraźni tę treść tajemną, którą twórca włożył w zimną formę; przeżyje i przemyśli to, co przeżył i przemyślał autor. Mamy tu więc jakby rozmowę duchów; spowiedź twórcy przed czytelnikiem; obcowanie mistyczne, które już samo przez się sprawia rozkosz tajemną; wzbudza dreszcz zachwytu. Rozkosz ta, powstająca przy inteligentnem czytaniu, potęguje się jeszcze procesem odtwarzania, powstającym w naszej wyobraźni, procesem, w którym również tkwi i pierwiastek

rozkoszy, pokrewnej rozkoszy tworzenia.

Odróżniamy w literaturze dwa rodzaje twórczości: objektywną i subjektywną. Pierwsza stwarza postacie o ustroju psychicznym, różniącym się zasadniczo od ustroju psychicznego twórcy; wytwarza ona typy, sytuacye, kolizye, marzone przez autora, będące koniecznym skutkiem pewnych jego dążeń i afektów. Potrzeba twórczości objektywnej, cechująca niektórych autorów objaśnia się siłą ekspansywną ich uczuć i wyobraźni, brakiem pewnego, specyficznego egoizmu, który nazwałbym egoizmem twórcy; dążeniem do stwarzania postaci i typów, uzupełniających postać autora. W świadomości poety objektywnego kryje się myśl, że on, jako jednostka, pełen jest usterek, niedoskonałości i smieszności —a wraz z tem i dążność do doskonalenia się, do uzupełnienia, do tworzenia postaci, posiadających te przymioty i cechy, których brak w sobie odczuwa sam twórca. Jest to więc dążenie do harmonii, do wzajemnego dopełnienia się dwóch typów; a ponieważ samo dążenie do harmonii jest skutkiem nie refleksyi, lecz afektu, ponieważ w osnowie tego dążenia kryją się bodźce czysto impulsywne, przeto i twórczość objektywna nosi na sobie owe piękno afektu, jest niejako koniecznym, nieodzownym, wpółświadomym aktem ducha, dążącego do harmonii.

Twórczość subjektywna wynika z nadmiaru owego egoizmu twórcy, o którym wyżej mówiłem, wynika ze zbytniego rozwoju indywidualizmu danej jednostki, ze skłonności jej do obserwacyi i analizy własnych stanów duchowych. Jest ona skutkiem dążności do zgłębiania i badania tajników własnej duszy przy równoczesnej obojętności na zjawiska świata zewnętrznego. Jako wynik tego dążenia ducha— powstaje typ, odpowiadający ściśle pojęciu danego autora o sobie, o swojem: „ja,“ typ najczęściej pojedyńczy, grający w danym utworze rolę dominującą, głęboki psychologicznie i posiadający wyjątkowo bogatą sferę uczuć i myśli. Dążenie do twórczości subjektywnej cechuje umysły głębokie, o podłożu filozoficznem, z silnie rozwiniętemi władzami poznawczemi przy równoczesnym zaniku afektów a osłabieniu siły uczuć. Cechuje ono natury suche, trzeźwe, patrzące realnie na świat i ludzi; nie skłonne do idealizacyi, — natury, które lubią poznać do głębi i mają najczęściej bardzo wysokie pojęcie o sobie, o swem: „ja.“ Ponieważ dążenie do badania i poznawanie jest dążeniem logicznie rozumnem i posiadającem wszystkie cechy rozumnego aktu poznawczego a pozbawionem piętna uczuć i afektów, przeto twórczość subjektywna, jako naturalny wynik tego dążenia, jest aktem rozumnym i świadomym, w którym główną rolę gra sprawność, przenikliwość i obserwacya umysłu.

Powstaje teraz pytanie: która z tych twórczości bardziej odpowiada naszemu pojęciu o sztuce. Odpowiem: twórczość objektywna. Widzieliśmy że twórczość subjektywna jest niczem innem, jak odtwarzaniem, odbiciem *własnych swych* stanów psychicznych; jest więc ona odtworzeniem a nie tworzeniem. Twórca subjektywny — jest to genialny czytelnik, czytający z głębi swej duszy i odtwarzający przeczytane; spełnia on więc zadanie, które stawialiśmy inteligentnemu czytelnikowi. Przeciwnie, pisarz objektywny tworzy, robi, ulepia jakby z niczego wszystko; kształtuje, nadaje ducha swemu dziełu, kierując się wyłącznie wymaganiami własnej fantazyi i wewnętrznej konieczności, którą—określiliśmy jako wpół świado-

me dążenie do harmonii. Jest on więc twórcą w dosłownem tego słowa znaczeniu, ponieważ tworzy coś, co przedtem nie istniało realnie i tylko jak ognik błędny błąkało się po mrocznych labiryntach jego jaźni. Twórczość jego ma charakter mistyczny, tajemniczy, charakter czegoś niepojętego, co nas świętym dreszczem podziwu przejmuje lub wprawia w zachwyt tajemny. Poeta objektywny działa silnie na nasze uczucie; jest on mistrzem, który grać umie na naciągniętych strunach duszy ludzkiej; więc wywołuje w nas podziw, imponuje nam ogromem swej mocy i władzy tworzenia. Dzieło zaś talentu subjektywnego może nas zachwycać głębokością psychologii, ścisłością i logicznością konstrukcyi; lecz nie wywoła ono w nas oddźwięku, nie pobudzi naszej wyobraźni do pracy odtwórczej, nie da nam tej rozkoszy odtwarzania i tej łatwości ujęcia, przyswojenia, jaką nam daje dzieło objektywne.

Te wszystkie powody skłaniają mnie uznać twórczość subjektywną, za niższą pod względem artystycznym od objektywnej. Nie przeczę, że niektórzy pisarze subjektywni (jak np. Tołstoj) wznieśli się na pewien poziom artystyczny tak, że ich dzieła obok zadowolenia myślowego mogą sprawiać i estetyczne. Lecz są to rzadkie wyjątki, które dadzą się objaśnić przez geniusz pisarza i pewną prostotę, prostoliniowość jego psychiki, sprawiającą, że łatwo go odczuć i przeniknąć, a zatem i odtworzyć jego stan psychiczny w chwili twórczości. Naogół jednak twórczość subjektywna nie działa na nasz zmysł estetyczny, nie kształci w nas owego poczucia estetyki, które jest źródłem tylu naszych rozkoszy. Działa ona na nasz umysł, otwiera mu nowe horyzonty, lecz uczuć nie porusza i te drzemią ukryte pod grubą obsłoną racyonalizmu, zanim ich nie rozbudzi, nie rozkołysze i nie rozmarzy wielkie dzieło sztuki. I owe rozkołysanie i podniesienie uczuć jest,—być może,—najwyższem i jedynie prawdziwem zadaniem i celem sztuki.

Południe.

O, płomieniste, słodkie, upalne południe!...
O, kwiaty mdlejące!...
O, słońce!
co w przezroczach wód
tęczą lśnisz cudnie!
W tobiem odnalazł snów ziszczenie,
pragnienia nasyciłem głód,
a przeciem był, jak modre cienie,
wlokące się w wieczorną ciszę —
odziany w smutku szaty mnisze,
O, słońce — cud!

Nie widzę mrocznych nisz
kościoła—
przy trumnie gorejących świec,
żaden mię dzisiaj trup nie woła,
ani żałobny krzyż
nie błyska—
w tobie spłonęły cmentarzyska,
upiorów wiec--

Na ustach się przedziwne słowa
cisną, jak kry
huczące—
muzyka jakaś brzmi
echowa,
walą się skał tysiące—

Królewski dzień!
Huk! łoskot! trzask!—
Piekło spopiela światy!
Gdzie mroczny cień?
Blask!
Straszny blask!...

— — — — — — — — — — —

Spłonęły senne kwiaty.

Tadeusz Strzęp.

O przeszłości wiedzieć, teraźniejszość spełniać, a przyszłości ufać powinniśmy. *Dr. L. W.*

Z Piotrkowa trybunalskiego.

W roku ubiegłym przypadło pięciolecie istnienia gimnazyum J. Dąbrowskiego w naszem mieście, powołanego do życia w lutym 1905 r. Pięć lat więc pracy nad ukształceniem młodego pokolenia, którego dwa zastępy wyruszyły już w świat rozszerzać dalej zdobytą wiedzę, pięć lat pracy w niezmiernie trudnych warunkach, wśród najróżnorodniejszych przeszkód, tamujących wszelki prawidłowy rozwój, ma poza sobą piotrkowska 8-io klasowa szkoła polska, która pomimo tych przeszkód nie upadała, lecz przeciwnie stale dążyła do ulepszeń i udoskonaleń. Dzisiaj tedy możemy powiedzieć z całą słusznością, że stanęła na właściwym poziomie. Widząc pełną energii poświęcenia działalność obecnego personelu nauczycielskiego z dyrektorem p. Józefem Dąbrowskim i jego zastępcą prof. Fabjanim na czele, można być pewnym, że i nadal szkoła coraz więcej rozwijać i udoskonalać się będzie. Ogłoszenie na początku bieżącego roku szkolnego regulaminu, wprowadzającego większy rygor wśród młodzieży, zostało ogólnie chętnie przyjęte, za wyjątkiem chyba nielicznych jednostek, którym nie podoba się wielce jego 3-ci i 4-ty punkt, gdzie jest mowa o spełnianiu obowiązków religijnych. Mając jednak na celu dobro szkoły, jednostki te postanowiły nie wyłamywać się z pod regulaminu i uczęszczać wspólnie, wraz z całą szkołą w niedzielę i święta na nabożeństwa, byleby tylko nie zmuszano ich do spełniania innych praktyk religijnych, jak np. spowiedzi.

Jak był potrzebny tego rodzaju regulamin świadczy fakt, że znikło prawie zupełnie z horyzontu szkolnego systematycznie uprawiane w ciągu lat ubiegłych, opuszczanie lekcyi i spóźnianie się na nie; niczem nieskrępowana samowola niektórych jednostek została ukrócona, w szkole zapanował ład i porządek. A ładu tego tak nam potrzeba. Sądzę, że młodzież, zrozumiawszy usiłowania swych kierowników, nie będzie im przeciwstawiała swego „ja,” ale wspólnie z nimi dążyć będzie do podniesienia wartości materyalnej szkoły polskiej. Takim wyrazem harmonijnego zespolenia się młodzieży z ciałem pedagogicznem, jak również i samej młodzieży pomiędzy sobą, ma być zaprojektowane przez klasę VIII wydanie książki pamiątkowej szkoły w celu uczczenia jej pięcioletniego istnienia. Idąc za wzorem kieleckich maturzystów, ma ona być jednocześnie i wydawnictwem pamiątkowym piotrkowskich maturzystów, opuszczających w tym roku zakład szkolny.

Projekt godny przyklaśnięcia, byleby tylko starczyło wytrwania w dobrych chęciach.

Wiele się już zmieniło w naszej uczelni, ale zło calkowicie wyplenionem nie zostało. Jednym z jego objawów uważam jest panujący pomiędzy klasą VII a VIII niczem niewytłomaczony antagonizm. Czas, by wspólnie podawszy sobie ręce, wziąć się do pracy. Nie usuwać się od niej z tego powodu tylko, że podjęła się klasa z jakichś powodów nam niesympatyczna jak to, ze smutkiem wyznam, stało się przed paru miesiącami. Drugim objawem jest wzrastająca ilość palących papierosy nawet w klasach niższych jak pierwszej i drugiej. Przed dwoma laty uczniowie klas wyższych wypowie-

dzieli bezwzględną walkę paleniu papierosów na gruncie szkolnym i nałóg ten w znacznej mierze wyplenili. Należałoby pomyśleć i teraz o czemś podobnem.

Na zakończenie chciałbym jeszcze kilka słów dorzucić o młodzieży tutejszej, uczęszczającej do wspomnianego gimnazyum. Rekrutuje się ona przeważnie z warstw średniozamożnych. Nie widać więc tu tych typów z pośród złotej młodzieży, są w prawdzie jednostki do nich zbliżone, ale jest to dopiero materyał, z którego być może z czasem się rozwiną przedstawiciele złotej młodzieży. Naogół młodzież tutejsza garnie się chętnie do nauki, (wielka zmiana nastąpiła pod tym względem w porównaniu z ubiegłymi latami) Pracuje wiele w domu nad uzupełnieniem wiadomości nabytych w szkole. Dość liczny bierze udział w pracach sekcyi popularyzacyi wiedzy krajoznawczej łącznie z młodzieżą żeńską. Dwa te światy zazwyczaj oddzielone od siecie murem chińskiem tu ma ją sposobność—pod okiem przełożonych—wzajemnie się poznać przy wspólnej pracy naukowej.

W odczytywanych referatach i wywiązywanej po nich dyskusyi nadarza się sposobność rozpoznania wzajemnych upodobań, celów i dążeń. A znajomość ta jest daleko głębszą od znajomości zawartej w salonie na wieczorku tanecznym.

Pod względem poglądów młodzież przedstawia się mniej więcej tak samo, jak i w innych szkołach w Warszawie lub na prowincyi. Mamy więc zwolenników pp. Dmowskiego i Balickiego, zwolenników kierunku narodowego, reprezentowanego przez „Przegląd Narodowy,“ mamy i tak zwanych postępców, wielce ruchliwych. Resztę stanowią t. z. dzicy, bez ściśle określonego poglądu politycznego, wśród nich wydziela sią grupa młodzieży w t. zw. etycznej, uważającej za punkt wyjścia dla swej działalności nauką Chrystusową.

St. S.

Sprawy młodzieży.

Ulgi na kolejach w państwie Rosyjskiem. Ostatni zjazd ogólny, zwołany w celu rozpatrzenia sprawy taryfy kolejowej, rozważał między innymi punktami porządku obrad sprawę ulg dla uczącej się młodzieży i uczestników kursów rolniczych, wynikiem czego jest następujące postanowienie.

Młodzież kształcąca się zarówno w prywatnych, jak i rządowych uczelniach (co do prywatnych szkół, niektóre koleje prywatne zgłosiły protest) będzie miała prawo korzystania z trzykrotnego przejazdu rocznie kolejami klasą III-ą z ulgą 25 proc., niezależnie od przestrzeni przejechanej. Wychowanice zaś szkół średnich i wyższych mogą korzystać z ulgi 25 proc. od ceny biletu klasy II, przeciw czemu z protestem również wystąpiły niektóre koleje prywatne.

Uczestnicy wycieczek naukowych, w liczbie od 10 do 50-ciu osób. będą korzystali z ulgi 50 proc.

Uczniowie szkół niższych będą mieli prawo w podróży w celach kształcących do bezpłatnego przejazdu na przestrzeni 50-ciu wiorst. Uczniom szkół kolejowych przysługuje prawo przejazdu bezpłatnego narówni z dziećmi pracowników kolejowych. Świadectwa na prawo korzystania z ulgi nie będą wydawały, jak dotychczas, szkoły, lecz kancelarye okręgów naukowych, lub też instytucye centralne.

Tego samego rodzaju ulgi przysługują i nauczycielom szkół niższych i średnich, jadącym na kursy nauczycielskie, wycieczki naukowe, jak również i czasowym kursom rolniczym, urządzanym dla włościan.

Redaktor i Wydawca Adam Szymański. Druk. E. Nicz i S-ka, Nowy-Świat 70.

KONKURS „PRĄDU"

NA KATECHIZM.

Pragnąc przyczynić się do uczczenia jubileuszowego roku (1912) Piotra Skargi, który był w dziejach naszych przepotężnym i natchnionym rzecznikiem urobienia społecznego ducha obywatelskiego — ducha, wypływającego z zasad religii, niniejszem ogłaszamy konkurs na **elementarny katechizm religii rzymsko-katolickiej** z jedną nagrodą niepodzielną wysokości **rubli 1000 (tysiąc)**.

Warunki konkursu są następujące:

Jako metodę przy opracowaniu przyjąć należy rozkład materjału wykładowego na rozdziały, stanowiące odrębną całość, przyczem każdy rozdział winien się składać z 3-ch następujących części:

I. Wyjaśnienie treści danego rozdziału w sposób zrozumiały dla umysłu dziecka. Wykład ten ma naprowadzić ucznia na kwestye zasadnicze, formułowane ściśle w części III-ciej. Wskazać wzory w życiu Chrystusa. Przykłady objaśniające należy brać ze środowiska dobrze znanego tym, których się ma pouczyć

Treść tego punktu będzie jednocześnie materjałem i przykładem metodycznym dla wykładającego.

II. Systematyczny szereg pytań, które, zadawane kolejno dziecku, zmuszą je do zastanowienia się nad zagadnieniami danego rozdziału, do wyrobienia pewnego swojego poglądu, do samodzielnego wypowiedzenia się. Pytania te mają pogłębić wykład i sprawdzić jego zrozumienie przez ucznia; mają ułatwić wszechstronne rozpatrzenie przedmiotu i zmusić dziecko do syntetycznego ujęcia zagadnień danego rozdziału.

Uwaga: Obie części zostaną złożone w książce drobnemi czcionkami.

III. Sformułowanie jasne i dokładne zasad i dogmatów wiary, omawianych w częściach poprzednich ściśle według nauki Kościoła, poparte, w miarę potrzeby, przytoczeniami słów Pisma św.

Pierwsza część każdego wykładu ma przeto dostarczyć dziecku materjału do rozumowania i odczucia,—druga przez pytania ma kierować jego rozumowaniem i pobudzić do uświadomienia sobie pewnych uczuć,—trzecia ma wreszcie tylko właściwie ściśle formułować to, co dziecko już samo odczuło, zrozumiało i po swojemu, językiem dziecinnym, wypowiedziało.

Rozmiary pracy konkursowej winny obejmować **4 arkusze druku** zwykłej 16-stki.

Z pomiędzy istniejących elementarnych katechizmów, pomimo braków, najbliższy zamierzonemu celowi jest może: „Katechizm rzymsko-katolicki do początkowej nauki dziatek“, ułożony przez X * (Lwów, 1877). System układu poleca się uwadze biorących udział w niniejszym konkursie.

Termin ostateczny nadsyłania prac **1 czerwca 1912 roku**.

Prace konkursowe, przepisane na maszynie, winny być zaopatrzone godłem, które ma się również znajdować na zapieczętowanej kopercie, dołączonej do rękopisu, a zawierającej imię, nazwisko i adres autora.

Wydawnictwo „Prądu“ zastrzega sobie prawo pierwszeństwa druku nagrodzonego katechizmu, po uprzedniem zatwierdzeniu przez władze duchowne.

Prace nadsyłać należy pod adresem, redakcyi **„Prądu” Warszawa, Warecka 10.**

Sąd konkursowy stanowią: ks. dr. Jerzy Matulewicz, profesor Akademii, Duchownej w Petersburgu, ks. Jan Gralewski, Cecylia hr. Plater-Zyberkówna i dyr. Władysław Wóycicki.

Redakcya „Prądu”.

Wszystkie pisma prosimy uprzejmie o powtórzenie niniejszej odezwy.

Z POWODU KONKURSU.

Doświadczenie życiowe stwierdza smutny fakt, że żaden z istniejących licznych katechizmów elementarnych nie odpowiada całkowicie wysokiemu swemu przeznaczeniu: jasnego a treściwego podania niewzruszonych dogmatów religijnych w sposób ściśle zastosowany do intelektualnego poziomu mniej rozwiniętego umysłu i uwzględniający rozwój jego pojęć.

Istniejące elementarne katechizmy właśnie dlatego nie odpowiadają swemu przeznaczeniu, że piszący je jakby zapomnieli, jaką drogą doszli do zrozumienia pewnych najprostszych choćby prawd, nie uprzytomniali sobie dostatecznie, że z katechizmów ich uczyć się mają umysły nierozbudzone, które myśleć abstrakcyjnie jeszcze nie zaczęły i zaledwie zdolne są zwrócić uwagę na najelementarniejsze zjawiska.

Podając tylko suche i zwięzłe definicye, nie zdolne dość jasno i obrazowo przemówić do pojęcia, nie pobudzają one do głębokiego ukochania wzniosłych zasad Chrystusowych.

A tymczasem katechizm winien być najdroższym, nierozłącznym, treściwym kodeksem życia ku wszechstronnemu rozwinięciu zasadniczego przykazania Chrystusowego (Mat. XXII 37-40, Mar. XII 29—31), które Kościół przy chrzcie każe nam wziąć za stały wskaźnik życia.

Katechizm winien więc dokładnie wyjaśnić zasady religii, winien rozwijać uczucia miłości Boga i bliźniego, powinien przyczynić się do wyrobienia siły moralnej dla praktykowania wiary żywej.

Dobrze wyłożona, dobrze pojęta nauka religii jest dla ludzi tą opoką, na której wzrastać powinno życie indywidualne i jako dalszy jego rozwój życie społeczne.

Jeżeli u nas taki brak poczucia zespołu, — jeżeli u nas ludzie nie odczuwają, że każda niedbała praca jest nieuczciwością; że wady w wykonaniu pracy krzywdzą ciężko bliźnich, odbijając się tak fatalnie i na całości ładu społecznego; że nieobowiązkowość, nieterminowość, wyzysk pracy cudzej, bezkrytyczność w stosunku do siebie, napastliwość względem innych i zwalanie na nich win naszych — wszystko to są grzechy śmiertelne pychy, le-

nistwa, zawiści, braku czystości intencyi, grzechy śmiertelne, — zabijające całą naszą przyszłość, — grzechy przeciw podstawowym nakazom dekalogu; jeżeli w sennem bytowaniu zarówno jak i w bezładnem szamotaniu się tak mało istotnego trwałego i owocnego twórczego Dobra, — tak mało Piękna duchowego, — tak mało Prawdy w życiu, a tak wiele okłamywania i łudzenia siebie samych; jeżeli w tym omanie mirażowym niezrozumienia życia idzie wszystko na zagubę, — to w znacznej części przypisać to należy brakowi uświadomienia religijnego. Nie zdajemy sobie sprawy, że prawdy harmonijnej w życiu być nie może bez zgodności zasad i czynów; a do wszystkiego tego przyczynia się w niemałym stopniu brak odpowiedniego wykładu podstawowych zasad religii—brak katechizmu, któryby był praktycznym wskaźnikiem, w jaki sposób należy religię praktykować, — jak w różnych pracach życiowych należy być wiernym wierze.

Widzimy wszyscy, że straty i szkody, wynikające z niewłaściwego rozumienia metodyki wykładu katechizmu są wprost nieobliczalne. Braki dotychczasowych opracowań katechizmu elementarnego dosadnie zostały podchwycone i scharakteryzowane nie tylko przez przeciwników ale i przez obrońców religii, że wymienimy tylko głosy Sempołowskiej, Moszczeńskiej, Witkiewicza, Adama Szymańskiego (Kraków) ks. kanonika Ślepickiego, (Kraków) ks. Bielawskiego (Kraków) Marciszewskiej (Warszawa). Kwestye te podnoszone również bywały nieraz przez księży katechetów i tych wszystkich wogóle, co mają do czynienia zarówno z uczeniem religii jak i ze skutkami jej niewłaściwego wykładu. Czas więc te braki usunąć!..

nistwa, zawiści, braku czystości intencyi, grzechy śmiertelne, — zabijające całą naszą przyszłość, — grzechy przeciw podstawowym nakazom dekalogu; jeżeli w sennem bytowaniu zarówno jak i w bezładnem szamotaniu się tak mało istotnego trwałego i owocnego twórczego Dobra, — tak mało Piękna duchowego, — tak mało Prawdy w życiu, a tak wiele okłamywania i łudzenia siebie samych; jeżeli w tym omanie mirażowym niezrozumienia życia idzie wszystko na zagubę, — to w znacznej części przypisać to należy brakowi uświadomienia religijnego. Nie zdajemy sobie sprawy, że prawdy harmonijnej w życiu być nie może bez zgodności zasad i czynów; a do wszystkiego tego przyczynia się w niemałym stopniu brak odpowiedniego wykładu podstawowych zasad religii—brak katechizmu, którvby był praktycznym wskaźnikiem, w jaki sposób należy religię praktykować, — jak w różnych pracach życiowych należy być wiernym wierze.

Widzimy wszyscy, że straty i szkody, wynikające z niewłaściwego rozumienia metodyki wykładu katechizmu są wprost nieobliczalne. Braki dotychczasowych opracowań katechizmu elementarnego dosadnie zostały podchwycone i scharakteryzowane nie tylko przez przeciwników ale i przez obrońców religii, że wymienimy tylko głosy Sempołowskiej, Moszczeńskiej, Witkiewicza, Adama Szymańskiego (Kraków) ks. kanonika Ślepickiego, (Kraków) ks. Bielawskiego (Kraków) Marciszewskiej (Warszawa). Kwestye te podnoszone również bywały nieraz przez księży katechetów i tych wszystkich wogóle, co mają do czynienia zarówno z uczeniem religii jak i ze skutkami jej niewłaściwego wykładu. Czas więc te braki usunąć!..

Redaktor i Wydawca Adam Szymański. Drnk. E. Nicz i S-ka, Nowy-Swiat 70